Dziś w numerze: W. RYMKIEWICZ Hemingway i jego krytycy • Nowe Niemcy a PRL • K. BADZIAK Z albumu poległych • Kawałek życia • Klub samobójców • Przypowieść o wiejskim klubie • Felieton sportowy • Sąd najwyższy

odgłosy

16 (509)
20. IV. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

Rys. W. Kondek

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DZWON DLA ZDUŃSKIEJ WOLI

— Ile pan ma lat?

— Trzydzieści — zapala papierosa i patrzy na mnie spod przymkniętych powiek. Cwaniak. Taki, co to wrzaśnie, tupnie i zapije w dzień roboczy od rana. Długie włosy, dwurzędowa kapota, czerwone gumiaki z przytępionym szpicem.

— Gdzie się pan urodził?

— W Zduńskiej Woli.

— Bardzo ładnie. No i jak się panu żyje?

— Słabo.

— Chciałby pan wyjechać?

— Jasne. Do Łodzi, albo do Warszawy.

— A do Paryża?

— Mnie tam, proszę pana, wszystko jedno, może być i Paryż, byle się tylko nie nudzić i żeby było za co się bawić. W życiu, proszę pana, to tak jest, że jeden nadaje się do tańca, drugi do różańca. Więc skoro ja chcę sobie potańczyć, ale nie w remizie, tylko żeby była pełna kultura: w lokalu dansingowym, to ja, pan wybaczy, takich warunków w Zduńskiej Woli nie mam...

Robi zwrot, podchodzi do dziewczyny.

— Cześć!

— Cześć!

Strzelają pocałunki.

Wychodzę z „Popularnej", jednej z dwóch tutejszych restauracji.

Ulicą przeciągają chłopskie furmanki i wozy z węglem. Śnieg poczerniały taje na chodnikach. Deszcz siąpi z nawisłego nieba. Mroczy się. Dzień nie dobiegł jeszcze południa, lecz tu i ówdzie przez zapocone okna domów przebija mdławe światło. Ludzie tłoczą się w bramach, na autobusowym przystanku, przemykają chyłkiem pod murami niosąc na twarzach piętno codziennego trudu.

Miasto jest smutne, pocięte byle jak ulicami; pełno parterowych domków, niektóre pod słomą, niektóre przygarbione ze starości. Ktoś powiedział: miniatura Łodzi — włókniarskie tradycje, robóciarski element, pył z kominów, szarzyzna.

Myślę:

Przyjechałem tu na trzy dni, ale już teraz, po trzech godzinach, mógłbym śmiało wrócić do Łodzi i w zgodzie z reporterskim obyczajem wysmażyć paszkwil na miasto.

Myślę:

Mógłbym podnieść wielki wrzask, że w tym mieście jedyny bar mleczny został wyrokiem władz sanitarnych przerobiony na pijalnię piwa, gdzie zbierają się o zmroku lokalne męty, i że tutejszy sąd powiatowy, z braku godnych pomieszczeń, wyemigrował do Sieradza, pociągając za sobą spory i tajemnice zduńskowolskich ludzi.

Z tego cwaniaczka — myślę — mógłbym po odpowiednim zabiegu zrobić bohatera, pewne — jak to się wytwornie mówi — intelektualne uogólnienie sytuacji, w jakiej znajdują się młodzi ludzie z powiatowych miasteczek.

Dobra. Dość tych myśli. Z takich myśli, z takiego pisania, z takich słów, jakie ciska przez zęby cwaniak w dwurzędowej kapocie — rodzą się kompleksy, które ciążą przecież nie tylko na powiatach. No bo tak:

Zduńska Wola ma kompleks Łodzi;

Łódź ma kompleks Warszawy;

Warszawa ma kompleks Paryża;

Paryż?... Powiedzmy, że nie ma kompleksów. Ale przecież nawet (albo — przede wszystkim) w Paryżu są rozgoryczeni, trawieni nostalgią i pragnieniem odmiany chłopaczkowie, dziewczyny, którym marzą się po nocach lepsze światy.

Wszędzie może być źle i wszędzie dobrze, i chociaż zabrzmi to banalnie, zgodzić się trzeba, że miejsce człowieka w świecie wyznacza jego praca. Bo do zrobienia jest cholernie dużo — wszędzie.

2.

— To było tak — zaczyna Zenon Pietrus, znawca historii i uważny obserwator życia — że w pięćdziesiątym szóstym Zduńska Wola otrzymała prawa powiatu. Ale co ja będę panu opowiadał, jeżeli tu najpierw trzeba zagłębić się w przeszłość zrozumieć procesy dziejowe. Więc sto pięćdziesiąt lat temu prywatny właściciel Złotnicki dał drzewo i ziemię, żeby mogli się budować osadnicy z Niemiec, Czech i różnych stron rozebranej Polski, no i powstała w ten sposób — bez składu i ładu, kanalizacji, wodociągów, szkół i komunikacji — osada włókiennicza, którą w 1825 roku przemianowali oficjalnie na miasto, jako że stała się ośrodkiem przemysłu tekstylnego. Z biegiem czasu zakwitło w Zduńskiej Woli tkactwo po chałupach i uliczny handel, powstały różne młyny, odlewnie żelaza i — jeśli zrobić przeskok do naszego wieku — przed pierwszą wojną światową miasto liczyło 28 tysięcy mieszkańców. Był to pierwszy szczyt Zduńskiej Woli, z którym łączyło się wielkie nadzieje rozwoju, i który, niestety, został zniszczony przez wojnę: spadliśmy poniżej 20 tysięcy. Ale ambicje zostały. Więc pięliśmy się z uporem w górę i w 1939 roku nastała dla miasta druga era nadziei, 29 tysięcy obywateli widniało w oficjalnym spisie. No, ale przyszła wojna. Znów spadliśmy do 20 tysięcy. Znów zaczęliśmy się wspinać i właśnie w 1956 roku nastała dla nas era trzecia... To pragnienie rozwoju, powiem szczerze, brało się między innymi stąd, że chociaż zawsze byliśmy więksi, liczniejsi od Sieradza, tośmy leżeli w jego powiecie, byli mu podporządkowani, i to grało ludziom na honorze. W porządku. Otrzymaliśmy nareszcie prawa miasta wydzielonego, które odtąd samo może o swoich sprawach decydować. Więc chcieliśmy się dalej rozwijać, żeby szansy nie przegapić. Trzeba powiedzieć, że początki były trudne, robota nad wydobywaniem miasta z wiekowych zaniedbań szła topornie i niewiele nam przybyło: żłobek, szkoła, trzy budynki, kawiarnia, jeszcze tam kilka małych inwestycji...

Ale nadszedł rok 1960, wybory do Rad Narodowych i tu stało się coś, co z lekka zaszokowało nie tylko ludzi w Zduńskiej Woli, ale także w innych miastach województwa.

Do głosu i władzy doszła młodość. I to nie tylko w komitecie partii i MRN, ale także w wielu przedsiębiorstwach przemysłowych, w zakładach bawełnianych, budownictwie, spółdzielczości...

Ci młodzi, proszę pana, co ja panu będę opowiadał, pan powinien to dokładnie poznać, bo oni to miasto wspólnie, ostro, do góry...

3.

Aleksander Błaszczyk urodził się w Zduńskiej Woli. Skończył ekonomię w Łodzi i jakiś czas pracował w Szczecinie, ale ziemia rodzinna ciągnęła. Powrócił i podjął pracę w przedsiębiorstwie podległym Radzie Narodowej, zdobywając szybko zaufanie i opinię znakomitego organizatora.

Zygmunt Wojciechowski także się tutaj urodził i także kończył łódzką WSE, powracając do Zduńskiej Woli tuż po studiach. Od 1956 roku pracuje w MRN.

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

W Waszyngtonie — z udziałem 15 krajów członkowskich — przez dwa dni obradowała Rada Ministerialna NATO. Posiedzenie zwołano z okazji 20-lecia Paktu Atlantyckiego, który, przypomnijmy, podpisany został 4 kwietnia 1949 roku. Uroczysty charakter posiedzenia nie przeszkodził w omawianiu aktualnej problematyki, a zwłaszcza propozycji 7 krajów socjalistycznych w sprawie zwołania europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa. O tym jednak za chwilę.

Pakt Atlantycki, o którym z okazji rocznicy prasa zachodnia pisała, że jest największym aliansem w czasie niewojennym, powołany został do życia w wyraźnie militarnych celach. W atmosferze szerzonego wówczas strachu przed „groźbą ze Wschodu". Stany Zjednoczone, jako inicjator NATO, chciały upiec dwie pieczenie: rozerwać koalicję antyhitlerowską i zapewnić sobie hegemonię w świecie kapitalistycznym.

Utworzenie NATO oznaczało polityczny zwrot — wejście na drogę rozwoju zbrojeń, które w krajach uczestniczących w tym bloku pochłonęły w latach jego istnienia ok. 1.300 mld dolarów, i przygotowywania się do wojny przeciwko krajom socjalistycznym. Jako że te ostatnie nie mogły pozostać obojętne i musiały zjednoczyć się w obronnej organizacji Układu Warszawskiego — powstanie NATO dało początek rozbicia Europy na dwa ugrupowania militarne, z wszystkimi tego negatywnymi skutkami.

Pod ochronną tarczą bloku atlantyckiego, zgodnie z zamierzeniami jego organizatorów, rozwijał się proces wskrzeszenia militaryzmu niemieckiego. Wstąpienie NRF do NATO w 1955 roku przyspieszyło odbudowę potencjału wojenno-przemysłowego Niemiec zachodnich i niejako „usankcjonowało" ich odchodzenie od postanowień Układu Poczdamskiego.

Okres 20-lecia NATO — to okres napięć politycznych, wywołanych jego istnieniem, około 20 interwencji i wielorakich komplikacji, które w Europie zawsze brały swój początek z odwetowej i militarystycznej polityki NRF.

Strach przed komunizmem, który był lepiszczem bloku — wobec wielu pokojowych inicjatyw ZSRR i innych krajów socjalistycznych, a więc realizacji w praktyce polityki współistnienia — przestał spełniać wyznaczoną mu rolę. W bloku atlantyckim rozpoczęły się procesy dezintegracyjne, czego wymownym przykładem wystąpienie Francji ze struktury militarnej NATO. Ale charakter paktu został utrzymany, a jego istnienie utrudnia zapewnienie bezpieczeństwa międzynarodowego.

„Fakty dowodzą — stwierdza oświadczenie rządu radzieckiego, ogłoszone w związku z 20-leciem paktu — że działalność NATO stale wytwarza atmosferę napięcia... Faktem jest, że kierownictwa bloku północnoatlantyckiego wywiera nacisk na należące do tego bloku kraje, starając się o coraz większe wzmożenie militaryzmu.

Kraje socjalistyczne niejednokrotnie podkreślały, że rzeczywiste bezpieczeństwo narodów można zapewnić tylko przez zrezygnowanie z podziału świata na bloki wojskowe, a tym samym i zaniechanie wyścigu zbrojeń. Drogi do przekształcenia Europy w kontynent pokoju i współpracy prowadzą przez europejską konferencję na temat bezpieczeństwa, propozycję zwołania której ponownie i konkretnie przedstawiono w Apelu Budapeszteńskim.

We wspomnianym oświadczeniu rząd ZSRR wyraża przekonanie, że apel ten spotka się „z pozytywnym oddźwiękiem u rządów wszystkich krajów europejskich, aby można było wspólnym wysiłkiem przejść do działań, mających na celu stworzenie trwałego systemu bezpieczeństwa".

Apel — jak można zorientować się z doniesień agencyjnych — znalazł swoje odbicie na sesji Rady Ministerialnej, wywołując dyskusję, a także przynosząc głosy poparcia. Końcowy komunikat nie zawiera jednak ustosunkowania się do zawartej w nim propozycji.

*

Pod koniec ub. tygodnia toczyły się w Berlinie dwudniowe rozmowy między partyjno-rządowymi delegacjami Polski i NRD. Ich przedmiotem było przede wszystkim dążenie do rozwoju współpracy między obu sąsiadującymi krajami na polu ekonomicznym. Z końcowego komunikatu wynika, iż utorowano na przykład drogę pogłębieniu podziału pracy na podstawie prognoz rozwoju gospodarczego w latach 1971—75.

W toku rozmów podjęto również zagadnienie ideowo-polityczne, składając zapewnienie dalszego aktywnego uczestniczenia w przygotowaniu moskiewskiej narady partii komunistycznych i robotniczych oraz działania na rzecz europejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy.

Komunikat wymienia przesłanki utrzymania i utrwalenia pokoju w Europie: uznanie istniejących granic, rezygnacja przez NRF z wyłącznej reprezentacji narodu niemieckiego i dostępu do broni nuklearnej, traktowanie Berlina zachodniego jako odrębnej jednostki politycznej oraz prawne w sensie międzynarodowym uznanie NRD.

Przypomnienie tych przesłanek trwałego pokoju i bezpieczeństwa w Europie jest bardzo istotne właśnie obecnie, kiedy w orbicie zainteresowania krajów Europy utrzymuje się budapeszteńska propozycja socjalistycznej „siódemki".

W. SŁAWSKI

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Hemingway i jego krytycy

W „Słowie wstępnym" do zbioru szkiców krytycznych o Hemingwayu redaktor Henryk Krzeczkowski i Leszek Elektorowicz, który dokonał wyboru, stwierdzają, że postawili sobie za cel „dać portret pisarza nakreślony piórami krytyków" oraz „...przegląd głównych tendencji krytycznych, jakie w okresie lat trzydziestu ujawniły się w odniesieniu do twórczości Hemingwaya".

Trzeba powiedzieć od razu, że cel został osiągnięty i że ponad pięćsetstronicowy tom może zaimponować bogactwem treści, starannością i nakładem pracy, jaką włożyli Elektorowicz i Krzeczkowski w „antologię", żeby nie użyć pejoratywnego w pewnym sensie słowa „wypisy". Ale...

Otóż to! Muszę się przede wszystkim zastrzec, że gdybym chciał omówić wszystkie dwadzieścia jeden szkiców oraz „Kalendarium", nie zmieściłbym się nawet w ramach dwóch kolumn łódzkiego tygodnika, a na taką „daleką drogę" nie otrzymałem zielonego światła. Muszę się więc ograniczyć do pierwszych z brzegu sześciu esejów, które wydają mi się nie tylko dostatecznie reprezentatywne dla całego wyboru, ale również nie mniej kontrowersyjne w stosunku do siebie niż pozostałe szkice.

Moje „ale" tłumaczy się obawą na myśl, jakie wrażenie wywrze ten świetny wybór (przeznaczony dla wyrobionych czytelników), jeżeli trafi do szerszego kręgu miłośników twórczości autora „Pożegnania z bronią" mniej obeznanych z tym, co się nazywa warsztatem pisarskim, oraz nie zorientowanych dostatecznie w giełdzie literackiej „straconego pokolenia" i w skomplikowanej — mówiąc eufemistycznie — grze sił pisarzy i krytyków.

W antologii sąsiadują ze sobą: poważny i bezstronny szkic znakomitego Roberta Pen Warrena ze stronniczym artykułem Kaszkina; dyskusyjny lecz nie napastliwy esej Lionela Trillinga z wypowiedzią Wyndhama Lewisa, którą można nazwać perfidną i która graniczy z pamfletem. Wątpię, czy wielu czytelników Hemingwaya pamięta dobrze „Ruchome święto" wydane przed czterema laty i czy zwróciło uwagę na to, że autora tego zbiorku wspomnień i Wyndhama Lewisa dzieliła nieukrywana wrogość.

„Nie podobało mi się malarstwo Wyndhama Lewisa", czytamy we wspomnieniu „Ezra Pound i jego bel esprit". I dalej: (Wyndham) „Miał twarz, która przypominała mi żabę... dla której Paryż był za wielką kałużą". Jeżeli dodamy, że Lewis uprawiał również beletrystykę i uważał się za pisarza wyższego rangą od Hemingwaya, to do ekscesów stylistycznych w jego (Lewisa) szkicu pod tytułem „Ernest Hemingway — Tępy wół" w rodzaju: „sztuka Hemingwaya jest sztuką plakatowej naklejanki" odniesiemy się z ironicznym lekceważeniem. Ale ci czytelnicy, którzy mogą o tym nie wiedzieć, poczują się prawdopodobnie zaskoczeni lub oburzeni.

Trudność odbioru, a raczej — wyrobienie sobie dokładnie wyważonego sądu przez tę kategorię czytelników, o których piszę, utrudnia zrozumiała skądinąd różnica w diametralnie przeciwstawnych opiniach krytycznych o utworach Hemingwaya. A więc, na przykład, Alfred Kazin jest zdania, że „Komu bije dzwon" należy do najmniej ważkich dzieł Hemingwaya", że „jest powieścią niezadowalającą z pewnością i Hemingwaya, gdyż stanowi przesadne i mimowolne włączenie jego zasadniczo anarchicznego indywidualizmu... w nowy świat wojny i walki, zbyt wielki dla hemingwayowskiej skali". Natomiast tenże Kazin ocenia „Śniegi Kilimandżaro" jako opowiadanie „wręcz znakomite". Inaczej — Robert Pen Warren, który uważa szeroko rozreklamowane „Śniegi" za porażkę autora, a wychwala Hemingwaya za styl w „Zielonych wzgórzach Afryki", co do których (jak odnotowuje Elektorowicz w „Kalendarium" pod rokiem 1935) recepcja krytyki była zgodnie niechętna.

Wreszcie — Kaszkin w swym szkicu „Ernest Hemingway — tragedia mistrzostwa" analizując „Pożegnanie z bronią" i opowiadania stwierdza, że „najwięksi mistrzowie literatury... są zwolennikami prostoty, tej cennej syntetycznej prostoty realizmu socjalistycznego" i przy okazji występuje „przeciwko zimnej witalności takiego specjalisty od koszmarów jak Faulkner". Dalej jeszcze dwukrotnie wypomina mimochodem „płodne kupczenie grozą Williama Faulknera" i żeby dobić wielkiego twórcę „Absalome, Absalome", mówi o nim — „zimny wirtuoz Faulkner". O tej napaści na marginesie szkicu o Hemingwayu warto powiedzieć, że dzisiaj, kiedy we wszystkich witrynach księgarń na wielkich obszarach Związku Radzieckiego można zobaczyć tłumaczenia dzieł Faulknera w wielu językach narodów radzieckich, zamieszczenie w antologii stronniczego szkicu z podobnymi epitetami może dziwić. Odwracam jednak kilkanaście stronic, upewniam się, że kolumna redakcyjna na odwrocie strony tytułowej „Tragedii mistrzostwa" podaje datę 1934 rok, sprawa wydaje mi się wyjaśniona, lecz zastanawia mnie, czy jednak autorzy zbioru „Hemingway w oczach krytyki światowej" nie powinni byli zwrócić się o esej o autorze „Pożegnania z bronią" do innych krytyków względnie literaturoznawców, których w Związku Radzieckim przecież nie brak? Rzecz w tym, że twórczość Faulknera nie jest łatwa do zgłębienia. Po cóż więc z góry zniechęcać do lektury dzieł laureata Nagrody Nobla tych, którzy może nigdy dotąd nie mieli w ręku książki najwybitniejszego pisarza Ameryki Północnej?

Układ szkiców sprawił, że na przestarzałe, bo więcej niż ćwierć wieku liczące wywody otrzymuje czytelnik zbioru odpowiedź w sąsiadującym bezpośrednio z pracą Kaszkina wnikliwym eseju Lionela Trillinga „Hemingway i jego krytycy". Trilling konstatuje to, co zostało po 1956 roku uznane i w naszej (i nie tylko w naszej!) polityce kulturalnej, a mianowicie: „...że od dzieła sztuki nie można oczekiwać skutków politycznych, a już z całą pewnością — doraźnie politycznych".

Autorzy szkiców krytycznych zarzucają niemal jednogłośnie Hemingwayowi antyintelektualizm, brutalność, obsesję śmiercią, monotonię stylistyczną i naśladowanie samego siebie, uznają jednak zgodnie jego zasługi jako nowatora stylistycznego. Wybitny krytyk Dwight Mc Donald wypowiada expressis verbis pogląd, że o doniosłości Hemingwaya stanowi przede wszystkim to, że był nowatorem stylistycznym. Nie przeszkadza to Donaldowi w krótkim żartobliwym pastiszu wyśmiać styl autora „Morderców". „Krótkie słowa, zdania oznajmujące, powtórzenia, piękny brak zdań pobocznych. Do czego się zabrał, wiodło mu się. I to pod wieloma względami, senior. Kiedy mu szło dobrze, było to coś w rodzaju natchnionego gaworzenia. Kiedy mu nie szło dobrze, było to zwykłe gaworzenie. tak przynajmniej utrzymywali krytycy, niech ich diabli wezmą".

Ostatni doskonały syntetyczny esej Zbigniewa Bieńkowskiego kończy interesującą pod wieloma względami serię szkiców, których zamknięcie stanowi „Kalendarium życia i twórczości Ernesta Hemingwaya" pióra Leszka Elektorowicza. Myślę, że „wzgląd na łączące się etapy pisarstwa Hemingwaya i podejmowane wciąż na nowo motywy" powinien ustąpić względom na interes czytelnika. „Kalendarium" powinno otwierać — zaraz po „Słowie wstępnym" — cykl szkiców ułożonych nie w porządku chronologicznym. Szkice z lat 1933 (Eastman), 1934 (Kaszkin i Lewis), 1939 (Trilling) przemieszane z późniejszymi nie obejmują szczytowych osiągnięć autora powieści „Komu bije dzwon" (1940 r.) oraz noweli „Stary człowiek i morze" (1952 r.). Niecierpliwi czytelnicy (a tych jest większość) nie będą zwracali uwagi na kolumny redakcyjne przed każdym rozdziałem na odwrocie strony tytułowej, na których tytuł szkicu w obcym języku wydrukowano petitem, zaś czasopismo, z którego został wyjęty tekst, oraz data — nonparelem. Po odłożeniu książki miłośnicy Hemingwaya będą mieli chaos „chronologiczny" w głowach i mogą powziąć fałszywe wyobrażenie o pisarzu osądzonym zbyt surowo w latach 1933—1939. Można było tego uniknąć, gdyż po zapoznaniu się na samym początku z przejrzyście ułożonym „Kalendarium" czytający zachowałby w pamięci przynajmniej to, że „Komu bije dzwon" przypada na dwadzieścia lat, zaś „Stary człowiek i morze" — na niespełna osiem lat przed śmiercią ich twórcy. Wydaje mi się więc, że zachowanie porządku chronologicznego, w jakim ukazywały się szkice, podniosłoby czytelność tej atrakcyjnej książki.

ŁODZIANIE W KARYKATURZE

JADWIGA ANDRZEJEWSKA
aktorka znana i lubiana

Rys. Ibis-Gratkowski

Nowe władze ZLP w Łodzi

13 kwietnia br. odbyło się walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze Związku Literatów Polskich, oddział w Łodzi. Referat z działalności ustępującego Zarządu za okres trzech lat wygłosił prezes, **Marian Piechal.** Na zebranie łódzkiego oddziału ZLP przybyli sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR — Jerzy Mokras, kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KŁ PZPR — Zofia Włodarczyk, kierownik Wydziału Kultury Prez. MRN — Ryszard Stefańczyk oraz zastępca kierownika Wydziału Kultury Woj. RN — Jadwiga Pilichowska. Byli również obecni przedstawiciele łódzkiej prasy codziennej. Po ciekawej dyskusji, w której zabrało głos wielu pisarzy — członków Związku, dokonano wyboru nowych władz. Oto skład nowego zarządu oddziału ZLP: prezes — **Wiesław Jażdżyński,** wiceprezesi — **Edward Szuster** i **Tadeusz Papier,** sekretarz — **Igor Sikirycki,** skarbnik — **Roman Łoboda,** członkowie zarządu — Andrzej Ostoja i Marek Wawrzkiewicz. Wybrano również Komisję Rewizyjną i Sąd Koleżeński. Do Komisji Rewizyjnej weszli: Tadeusz Chróścielewski, Jan Czarny, Leon Gomolicki i Ludwik Świeżawski, do Sądu Koleżeńskiego: Konrad Frejdlich, Józef Kononowicz, Włodzimierz Krzemiński i Zofia Lorentz. Nowemu zarządowi życzymy pomyślnej pracy.

DZWON DLA ZDUŃSKIEJ WOLI

Da'szy ciąg ze str. 1

Adam Koziński jest z zawodu historykiem, absolwentem UŁ. Urodził się wprawdzie w Uniejowie, ale zdobył zduńsko-wolskie obywatelstwo, żeniąc się niezwłocznie z tutejszą dziewczyną.

Kiedy w 1960 roku odbyły się wybory do Rad Narodowych, usytuowało się w wyniku przytłaczającej ilości głosów prezydium, w którym przewodniczącym został Aleksander Błaszczyk, lat trzydzieści; wiceprzewodniczącym: Zygmunt Wojciechowski, lat trzydzieści trzy, sekretarzem: Adam Koziński, lat trzydzieści.

W sumie nie mieli stu lat i stanowili najmłodsze prezydium w Polsce.

Szybko znaleźli wspólny język z Komitetem PZPR, w którym także nie brakowało młodych, wykształconych ludzi. Obecny sekretarz, Jan Ścibiorek, kończył WSNS w Warszawie; sekretarz propagandy, Marian Godzisz, jest z zawodu fizykiem, a sekretarz organizacyjny, Kazimierz Kwaśniewski, także młody, szlify polityczne zdobywał jako długoletni i ofiarny działacz ZMS.

Władze partyjne i miejskie znalazły z kolei wspólny język z młodą i wykształconą kadrą kierowniczą w zakładach pracy. Zawiązał się wspólny, zespolony przyjaźnią i świadomością jednego celu — front, który — jak to określił Zenon Pietrus, wnikliwy obserwator życia — zaczął ostro i twardo walczyć o prawa dla miasta.

4.

Tragicznie było w Zduńskiej Woli z zapleczem sanitarnym. Rozpoczęła się więc od 1960 roku budowa ujęcia miejskiego, sieci wodociągów i kanalizacji. Miasto, które miało w tym zakresie najniższy wskaźnik w województwie i jeden z najniższych w kraju — zdołało podłączyć się do wspomnianych sieci w 10 procentach. Dalej więc są w mieście dzielnice bez wody i kanalizacji, dalej wiele ulic peryferyjnych tonie wieczorem w ciemnościach.

Ruszyło także budownictwo mieszkaniowe. Powstały po 1960 roku dwa osiedla Rady Narodowej — Srebrna 1 i Srebrna 2 oraz osiedle spółdzielni „Lokator" przy ulicy Osmolińskiej. Obecnie Rada Narodowa buduje nowe osiedle przy ulicy Kilińskiego.

Radykalnie zmieniła się sytuacja w szkolnictwie, które dotąd cierpiało na brak odpowiednich pomieszczeń. Osiem z dwunastu szkół, rozlokowanych w ciasnych, źle oświetlanych izbach, otrzymało nowe, dobrze wyposażone budynki. Powstało również kilka żłobków, co ma niemałe znaczenie, jeśli się weźmie pod uwagę, że 53 procent wśród ogółu zatrudnionych w mieście osób stanowią kobiety.

Jeśli chodzi o kulturę — nie powstał żaden trwały obiekt. Ale bądźmy sprawiedliwi: zmodernizowano jedno z dwu kin, rozbudowano Miejski Dom Kultury, zorganizowano spółdzielczą placówkę kulturalną, powstało kilka klubów przyzakładowych i międzyzakładowych. Co zaś się tyczy kultury fizycznej i wypoczynku — rozrasta się park, obok którego powstaje kąpielisko, które z kolei, budowane w czynie społecznym, graniczy z całkowicie trzy lata temu zmodernizowanym stadionem klubu sportowego „Pogoń".

Szpital w Zduńskiej Woli rozrósł się z małego obiektu bez wody i kanalizacji — w duży budynek, co bynajmniej nie zaspokaja lokalnych potrzeb. Przybędzie wprawdzie pawilon przeciwgruźliczy o 100 łóżkach, a także przyszpitalna apteka, trudno jednak marzyć, aby miało to decydujący wpływ na poprawę sytuacji kadrowej: w takich warunkach ambitni lekarze nie mają szans na podnoszenie swych zawodowych kwalifikacji. Brak laboratorium, pogotowie ratunkowe pracuje w bardzo złych warunkach. Lecznictwo specjalistyczne rozwija się raczej w kierunku chirurgii, pediatrii i interny, nie ma natomiast laryngologów, neurologów i dermatologów. W 1963 roku powstała przy ulicy Srebrnej Przychodnia Lekarska, ale odczuwa się brak drugiej takiej lecznicy. Stosunkowo najlepiej przedstawia się kwestia zdrowia w zakładach pracy: lecznictwo przemysłowe jest dobrze zorganizowane na terenie wszystkich przedsiębiorstw.

Czego jeszcze w Zduńskiej Woli brakuje?

Ano, jak już mówiliśmy, sądu, baru mlecznego, lokalu z orkiestrą, sali widowiskowej, w której mógłby zagościć teatr objazdowy albo big-beatowy zespół, kilku sklepów, kolei obwodowej czy choćby drogi okolnej dla poprawy komunikacji.

5.

— Niejednemu może się to wydać śmieszne, że my tak obsesyjnie wspominamy o braku sądu, komunikacji czy zakładu ubezpieczeń ale przecież bez tych instytucji nie mamy szans oddziaływania na teren, spełniania klasycznych funkcji miejskich — mówi przewodniczący, Aleksander Błaszczyk. — Aby się ubezpieczyć, rozsądzić czy pobawić — zduńskowolanie, a także ludzie z okolicznych wiosek, muszą wędrować do Sieradza, który jest przecież od nas o połowę mniejszy.

Zduńska Wola liczy oficjalnie 28,5 tysiąca mieszkańców, w rzeczywistości jednak sprawa przedstawia się inaczej: przecież w samym przemyśle zatrudniamy około ośmiuset osób spoza terenu, z takich wiosek jak Czechy, Izabelów, Ogrodzisko, Tymienice, Janiszewice, Poręby i Biały Łuk. Ludzie ci leczą się w naszych przychodniach i szpitalu, zaopatrują się w naszych sklepach, korzystają z dóbr kulturalnych i socjalnych. Elementarny humanitaryzm nie pozwala ograniczać ich swobody w tym zakresie, ale czy to wszystko nie ciąży na warunkach naszych mieszkańców? Czyż nie wskazuje na naglącą konieczność generalnej rozbudowy miasta?

W planach na najbliższe lata znalazło się dowcipne życzenie władz zwierzchnich, abyśmy rozwijali się przede wszystkim w oparciu o przyrost naturalny. A przecież ten przyrost jest u nas najmniejszy w województwie...

Inny problem: mamy w mieście zasadnicze szkoły zawodowe oraz dwa technika: Mechaniczne i Elektroniczne. W przemyśle natomiast brak odpowiedniej ilości miejsc dla absolwentów tych szkół, zaledwie dwanaście procent znajduje pracę na miejscu. Reszta (całe klasy) wyjeżdża do Płocka i na Śląsk, gdzie pracuje w górnictwie i hutnictwie. Osłabia to miasto nie tylko o ilość mieszkańców, lecz także o młode, wykwalifikowane kadry techniczne, które przy odpowiedniej strukturze zatrudnienia (odczuwa się potrzebę budowy nowego zakładu pracy dla mężczyzn) mogłyby pozostać w mieście i wydajnie je wzbogacić.

Sprawą kolosalnej wagi wydaje mi się także zezwolenie na migracje do miasta, które ostatnimi czasy ubożeje pod względem liczby mieszkańców.

6.

Kiedy świeci słońce, to Zduńska Wola nie jest wcale brzydka i smutna. Słońce skutecznie weryfikuje te moje pierwsze, deszczowe wrażenia. Wyłaniają się nagle kolonie zadbanych domów, bloki i wystawy sklepowe o wypucowanych do połysku szybach.

Na skraju miasta rozłożył się szeroko przemysł i kiedy patrzę na Zduńskowolskie Zakł. Baw. (kombinat, którego może pozazdrościć miastu Łódź i Warszawa; piękna architektura, przestronne, choć, jak mówi dyrektor Zakładów, niedostatecznie akli matyzowane hale; nowoczesne maszyny; ponad trzytysięczna załoga) — wiem, że uparte, ambitne miasto nie przegrywa swojej szansy.

Taka spółdzielnia odzieżowa, jak „Lipcowy Zryw", też może zaimponować, i to zarówno okazałym, nowoczesnym wyglądem gmachu jak i doskonałą, rozchodzącą się na cały świat produkcją towarów.

Ciekawe... wszystkie państwowe i spółdzielcze zakłady w mieście: wełniane, bawełniane, dziewiarskie, odzieżowe, remontowo-budowlane i maszynowe — zgodnie ze sobą kooperują, współdziałają, jednoczą swoje wysiłki nie tylko dla spraw produkcji ale także dla rozbudowy miasta.

— W tym, jakże kiedyś opuszczonym, zaniedbanym mieście, zrobiło się ostatnimi laty kawał rzetelnej roboty — powiada Zenon Pietrus, bystry obserwator życia — trzeba bić za to brawo młodym, odważnym ludziom z władz i zakładów pracy, to oni wbrew wszelkim nieprzychylnościom losu zrobią jeszcze więcej. Trwa dla Zduńskiej Woli era trzecia. Biją dzwony, które są przecież, mimo wszystko, dzwonami nadziei.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

LISTY REDAKCJI do

WIELCE SZANOWNY
PANIE REDAKTORZE!

Od czasu jak „Odgłosy" zaczęły pisać o Zelowie propaguję pismo wśród moich znajomych. Od teraz będą jego stałymi odbiorcami. I ja też. Pan Redaktor Karol Badziak wyzwolił drzemiące, i może zastygłe popiołem zapomniane obrazy. „Mój Zelów" — i te dni dzieciństwa, dojrzalszej młodości, pierwsze wzloty poezji i upadki, konfrontacje i doświadczenia.

Przeradzanie się poczwarki w motyla.

Ten dawny Zelów.

Ale muszę przyznać, że bardziej mi się podobał esej Pana Redaktora Wilmańskiego o Aleksandrowie. Zawierał dystans do tego, co było. Widocznie tkwił w faktach. Ale jak z kury nie będzie orła, a z sosny dębu, — tak próżni nie zastąpi inwencja i talent.

Małe miasteczka zieją próżnią, odpychają pustką, — są straszne. Mi gracja — jedyny ratunek.

Dziś w Zelowie nic się nie dzieje. Nie dzieje się w Aleksandrowie, chociaż ten żyje Łodzią. Nie dzieje w innych podobnych miasteczkach.

A jednak miasto mojego dzieciństwa jest mi drogie.

W 1918 r. kiedy zaczęła się odbudowa prochów polskiej przeszłości, kiedy nauczyciele z Galicji przyjechali do Zelowa, zwrócili uwagę na napis na jednej z piekarń, który brzmiał: „Polska Piekarnia". Bo Zelów był czeski.

Czy czeski?

W fakturze dwudziestolecia, potomkowie „Braci Czeskich" — pusztanie nosabiali się w wiodących rodach; Pospiszylów, Dedecjuszów, Jersaków.

Dominowali.

Ludność narodowości polskiej — to przybysze, w enklawie czeskiej podporządkowani wysublimowanej, strzeżonej tradycji, na podłożu religijnym i zwartości narodowej.

Dopiero w roku 1912 pierwszy z polskich obywateli dopuszczony został do gminnych władz. A potem w symbiozie żyło się już razem różnym narodowościom.

Czeszki były piękne, a imiona ich poetyczne: „Maleńka", „Marzenka", „Drahomira", „Sławka"...

Chłopaki aż z Kociszewa złaty wali się do Zelowa.

Nie, nie, — nie na psoty, ale tak żeby popatrzeć, porozmawiać...

Religijni purytanie trzymali w mocnych ryzach piękne Czeszki. Solidność, pracowitość, religijność i przywiązanie do narodowej tradycji cechowały potomków „Braci Czeskich" i ich córy...

Jersak, który wybudował wspaniałą fabrykę włókienniczą raz na wiecu, na rynku, zagalopował się i powiedział, że „Polska to od Warszawy do Sromutki (wieś o 2 km od Zelowa), — a reszta to „Czeskoslovensko".

Pojechał za to do Berezy, ale wykupił się samolotem ufundowanym dla armii. A uczył się przemawiać w „Versailu" w Łodzi, w ekskluzywnej restauracji na rogu Piotrkowskiej i Zielonej, na pierwszym piętrze przed lustrem. Stawał przed lustrem i przemawiał, a potem pytał: „no jak, dobrze?"

Ta przemowa na rynku, to wynik tej nauki. Ale przedtem w trudzie i znoju, od tkacza, nakładcy, od handlarza domokrążnego, od wyjazdów do Kowna, Wilna, z towarem przez siebie własnoręcznie utkanym, na plecach, w walizce — wyrąbywał w twardym nieużytym gruncie swą wielką karierę materialną.

Po wojnie Jersak wyjechał do Czech, wyjechali z nim inni, nie tylko dlatego, że ktoś był w Zelowie „wojowniczy".

Po zawierusze wojennej, po okresie kataklizmu, zatęsknili za Ojczyzną. I wyjechali.

Ale zapomnieć tej drugiej polskiej Ojczyzny już nie mogli. Przyjeżdżał z Czech do Zelowa Jersak.

Chodził po tym rynku, na którym przemawiał, wchodził do zboru, rozmawiał z dawnymi swoimi znajomymi i płakał.

Wyjechali z Zelowa Czesi. Zelów już nie jest czeski, ale i nie ma też już w Zelowie i „Polskiej Piekarni".

Po prostu — jest Zelów. Nowy Zelów. Na podścielisku dni, które przeszły i ludzi, którzy byli — rodzi się nowy Zelów jak rodzi się nowa Polska.

STANISŁAW ZATORSKI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W związku z felietonem nieocenionego „Widoka", napisanym na marginesie mojej pogadanki, pozwalam sobie najkrócej podać moje argumenty za tezą, że „Trędowata" Mniszkówny powinna zostać wznowiona, chociaż jest to książka bardzo niedobra i jako całość nudna wa.

Legenda „Trędowatej" jest nieustannie pobudzana zabawnymi cytatami, parodiami, audycjami na niesłyszalnych falach, pośpieszną lekturą udostępnionego w drodze łaski egzemplarza, wędrującego jak relikwia z rąk do rąk. Działa też wieczna tęsknota do zabawek, które zabrano nam siłą, nim zdążyliśmy wyrosnąć. Szkodliwy mit „Trędowatej" skończyłaby, moim zdaniem, jej pełna edycja. Żywię przekonanie, że po chwilowym szale i szoku 99 proc. czytelników poczułoby się głęboko zawiedzionymi. Nie podzielam też pesymistycznego poglądu, że literatura tego typu może przekreślić dorobek wychowawczy ostatnich lat i wzbudzić masową tęsknotę za... ordynatami.

Prawdę mówiąc, kto z nas ma rację, nie da się ustalić w najbardziej nawet uczonej dyspucie. Po ewentualnym wydaniu książki (w dostatecznym nakładzie!) ktoś z nas będzie miał prawo powiedzieć: „a widzisz, mówiłem".

JANUSZ DUNIN

PS. W felietonie, być może z mojej winy, ukazała się wiadomość, że prof. J. Krzyżanowski jest zwolennikiem wydania „Trędowatej". W znanych mi pracach Profesora nie znalazłem takiego twierdzenia.

J.D.

Półmilionowa RODZINA

O SPRAWACH WŁÓKNIARZY ROZMAWIAMY Z BARBARĄ NATORSKĄ

Dzień Włókniarza — święto 550 tysięcy pracowników przemysłu lekkiego: włókienniczego, odzieżowego i skórzanego. Rzesza to ogromna. Łączy ich wspólny zawód, wspólna praca i jej problemy, wspólny związek zawodowy. O tym co interesuje i boli tę wielką włókniarską rodzinę rozmawiamy z przewodniczącą Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego — BARBARĄ NATORSKĄ, posłanką na Sejm.

— W tej ponad półmilionowej rzeszy związkowców znaczną część stanowią chyba łodzianie?

— Łódź jest reprezentowana w Związku przez 140 tysięcy członków. Ale wracając jeszcze do liczby naszych związkowców, to jest ich więcej, bo 580 tysięcy. Ta różnica to renciści, którzy w dalszym ciągu czują się związani z zawodem wykonywanym przez wiele lat i z miejscem pracy, w którym spędzili znaczną część swego życia.

— Włókniarze, a oni przecież dominują liczebnie wśród pracowników przemysłu lekkiego, to zawód o starych tradycjach, konsolidujący ludzi, łączący ich w grupę zawodową, o której śmiało można powiedzieć: włókniarska rodzina. Z jakiego gruntu Pani zdaniem wyrasta ta solidarność.

— Sądzę, że przede wszystkim ze społecznej rangi zawodu, ze świadomości, że to co robią jest ważne, potrzebne, pożyteczne. Zaspokajają przecież te najbardziej powszednie, podstawowe, codzienne potrzeby społeczeństwa — ubierają je. W jakimś stopniu uczestniczą więc w kształtowaniu kultury życia codziennego. Od tego co zrobią i jak zrobią zależy wygląd zewnętrzny ludzi a także w pewnym stopniu urządzenie wnętrza ich mieszkań.

Wymagania społeczne w tym zakresie wciąż rosną, ludzie chcą się ubierać coraz lepiej i estetyczniej, potrzeby kraju, a także eksportu, chłonność rynku są coraz większe i w tej sytuacji załogi fabryk starają się jak najlepiej sprostać swym zadaniom. Tę grupę zawodową na pewno cechuje duża ambicja zawodowa, pracowitość, zaangażowanie. Mimo trudnych często warunków, produkcja przemysłu lekkiego jest coraz lepsza jakościowo potrzeby rynku są coraz pełniej zaspokajane. Oczywiście jest to zasługą zarówno robotników jak i kadry inżynieryjno-technicznej, a także plastyków-projektantów. Sukcesy te są efektem ich wspólnego wysiłku.

Włókniarze od trzech lat przodują w dziedzinie inicjatyw społecznych i czynów produkcyjnych. W tej branży narodził się niegdyś „wyścig pracy", a potem wiele innych form współzawodnictwa. Dla uczczenia V Zjazdu partii włókniarze dali dodatkową produkcję 19 i pół miliona metrów tkanin. Dziś coraz szerzej rozwija się m. in. współzawodnictwo o tytuł „brygady pracy socjalistycznej", a ostatnio coraz więcej załóg zgłasza akces do „brygad 25-lecia PRL".

— Wszystkich, o których mówimy łączy wspólna przynależność do resortu zwanego przemysłem lekkim. Ale praca w tym przemyśle wcale nie jest lekka?

— W wielu zakładach warunki pracy nie są łatwe. I choć w części fabryk modernizowanych poprawa jest odczuwalna, to jednak ogromna większość starych zakładów cechuje się zagęszczeniem parku maszynowego, dużym zapyleniem, brakiem dostatecznych urządzeń socjalnych. Szczególnie dotyczy to Łodzi, gdzie baza produkcyjna była w zbyt małym stopniu modernizowana.

Obecnie sytuacja ulega i ulegać będzie dalszej poprawie. Dzięki decyzjom partii i rządu w sprawie zwiększenia środków na inwestycje w przemyśle lekkim, opracowany został plan rekonstrukcji i modernizacji, który będzie spełnieniem postulatów załóg wysuwanych od wielu lat. To jest nie tylko szansa zwiększenia i poprawy jakości produkcji, ale także radykalnej poprawy warunków pracy załóg, polepszenia bezpieczeństwa i higieny pracy. Szczególnie duże środki inwestycyjne przewidziane w najbliższym planie 5-letnim na odtworzenie i modernizację zakładów, przewidują również inwestycje socjalne i kulturalne. Nasz związek mocno podkreśla te sprawy, szczególnie istotne w przemyśle zatrudniającym średnio 64 procent kobiet, a w niektórych branżach jak na przykład odzieżowa — ponad 80 procent. W pierwszym rzędzie chodzi o inwestycje zabezpieczające opiekę nad dzieckiem, różne formy wypoczynku w czasie wolnym od pracy, budowę ośrodków wczasowych, wreszcie stworzenie warunków dla działalności kulturalno-oświatowej. Mamy pięknie działające zespoły i domy kultury, a wiele z nich, jak na przykład „Harnam", pracują w trudnych warunkach.

— Modernizacja i rozbudowa, to również poprawa bezpieczeństwa pracy, a o ile mi wiadomo, liczba wypadków przy pracy ma w dalszym ciągu tendencję wzrostu? Ta sprawa jest więc szczególnie chyba paląca?

— Oczywiście, modernizacja to potencjalna szansa, ale rzecz charakterystyczna, dużą ilość wypadków obserwujemy również w niektórych zakładach unowocześnionych. Dla zmniejszenia liczby wypadków potrzeba przede wszystkim lepszej organizacji pracy i nadzoru. Przyczyną wysokiej jeszcze wypadkowości jest niedostateczne, często formalne i powierzchowne szkolenie pracowników, wadliwe metody pracy, niewłaściwa organizacja stanowisk roboczych i wreszcie brak dyscypliny w przestrzeganiu przepisów bhp ze strony samych pracowników. Jako związek domagamy się zwiększenia odpowiedzialności administracji za ten odcinek, a także widzimy konieczność wzmożenia kontroli warunków przez związkową i społeczną inspekcję pracy. W kampanii sprawozdawczo-wyborczej do rad zakładowych poświęciliśmy tym zagadnieniom szczególnie wiele uwagi.

Do walki o poprawę warunków pracy angażujemy inicjatywę społeczną. Dokonywane są stałe przeglądy w fabrykach, dziś już każdy zakład posiada plan poprawy warunków pracy integralnie związany z planem produkcyjnym. I jest niezbitym faktem, że tam gdzie jest troska, gdzie poprawiają się warunki pracy, tam polepsza się ogólna atmosfera, podnosi wydajność, efektywność produkcji.

— Nowy etap — bo tak chyba można nazwać rozpoczynający się wielki okres modernizacji i rekonstrukcji zakładów włókienniczych — to piękne perspektywy, ale dla Związku także zwiększone obowiązki i zadania?

— Nowe inwestycje to szansa, a jednocześnie obowiązek, by jej nie zmarnować, by właściwie wykorzystać i spożytkować przeznaczone środki. W zadaniach jakie stawia sobie nasz Związek ważną sprawą jest troska o kształtowanie czynnych, zaangażowanych postaw społecznych i pobudzanie ambicji zawodowych co również ma ogromny wpływ na jakość i wyniki pracy załóg. Naszym obowiązkiem jest również pomoc w ułatwianiu życia pracowników na terenie fabryki i poza nią, troska o jak najlepsze zaspokojenie podstawowych potrzeb bytowych i kulturalnych. Dlatego uczestniczymy w opracowywaniu planów inwestycyjnych na odcinku socjalno-kulturalnym.

— A teraz, jeśli można, chciałabym zwrócić się do Pani jako posła, reprezentującego w Sejmie nasze miasto. Czy funkcja ta wiąże się w jakiś sposób z Pani działalnością zawodową?

— Na wielu odcinkach nawet bardzo ściśle. Jestem członkiem sejmowej komisji przemysłu lekkiego, rzemiosła i spółdzielczości pracy, reprezentuję w tej komisji łódzki zespół poselski wraz z Józefem Spychalskim, Henryką Golińską i Ireną Sroczyńską, która jest przewodniczącą tej komisji. Oczywiście najbliższe są nam sprawy naszego przemysłu i właśnie na terenie komisji sejmowej staramy się poruszać najpilniejsze, najbardziej istotne i pilne sprawy włókniarzy, sprawy naszego miasta. Na obradach komisji omawiane są często problemy tak zasadnicze jak inwestycje, zabezpieczenie środków wykonawstwa, unowocześnienie produkcji, rozwój zaplecza naukowo-badawczego dla przemysłu lekkiego i tak dalej. W tych sprawach komisja wysunęła szereg dezyderatów pod adresem rządu i komisji planowania, wiele z nich uwzględniono. Przede wszystkim walczyliśmy o zwiększenie środków na inwestycje i myślę, że mamy w tym jakąś zasługę, że zostały one przydzielone w znacznie większych niż dotychczas kwotach.

Również Sejm był terenem, na którym rozstrzygnięta została sprawa trzeciej zmiany w soboty. Przedyskutowano wnioski komisji w tej sprawie, zostały one wzięte pod uwagę i znalazły wyraz w decyzji KERM-u. Życie potwierdziło słuszność tej decyzji. W efekcie zakłady uzyskały zmniejszenie absencji, zmniejszenie postojów maszyn i większą efektywność pracy na pozostałych zmianach, a pracownicy więcej czasu na odpoczynek.

Pełniąc obie te funkcje muszę mieć czasem dwa spojrzenia na jedną sprawę. Ostatnio na przykład komisja zakończyła prace nad ustawą o wydłużeniu norm urlopowych, zgodnie z uchwałą V Zjazdu PZPR.

Jako przewodnicząca Związku myślałem już o tym, jakie obowiązki realizacja tej ustawy nakłada na nas. Będziemy przecież musieli przedsięwziąć kroki dla organizacji nowych ośrodków wczasowych i wypoczynkowych, aby zabezpieczyć pracownikom jak najlepsze, najwłaściwsze wykorzystanie tych dłuższych urlopów.

Obecnie staje przed Związkiem nowe zadanie — rozpatrzenie i opracowanie możliwości dalszego skrócenia czasu pracy, zgodnie z wytycznymi uchwały V Zjazdu. W pierwszym rzędzie projekt będzie dotyczył skrócenia czasu pracy na stanowiskach uciążliwych i szkodliwych dla zdrowia. Będzie on zrealizowany do 1970 roku, a obejmie niemałą liczbę 15 tysięcy pracowników głównie z branży lniarskiej, filcowej i skórzanej. Prace nad tym projektem są już daleko zaawansowane, przewiduje się 6—7-godzinny dzień pracy, zależnie od stopnia uciążliwości i szkodliwości pracy.

W dalszym etapie czeka nas praca nad realizacją uchwał V Zjazdu w sprawie dalszego powszechnego, stopniowego skrócenia pracy w latach 1971—75. Do opracowania tego projektu przystąpimy jeszcze w bieżącym roku, jednak jego realizacja musi być stopniowa i odbywać się przy pełnym wykorzystaniu mocy produkcyjnych i zabezpieczeniu wykonania zadań ekonomicznych.

Problemów i tych największych i tych mniejszych jest stale wiele, życie przynosi coraz to nowe — nic dziwnego w ponad półmilionowej rodzinie zawsze jest o co się troszczyć i o co walczyć.

— Dziękujemy za interesującą rozmowę i na Pani ręce składamy życzenia pomyślności osobistej i dalszych sukcesów w pracy dla wszystkich pracowników przemysłu łódzkiego, wszystkich łódzkich włókniarek i włókniarzy.

Rozmawiała
TERESA WOJCIECHOWSKA

Fot. A. Wach

Kultura polska w świecie

Nowe Niemcy a PRL

O wymianie kulturalnej między Polską i NRD rozmawiamy z I Sekretarzem Ambasady Niemieckiej Republiki Demokratycznej w Polsce MANFREDEM THIEDE.

ODGŁOSY: — Prosimy o scharakteryzowanie współpracy kulturalnej między NRD a Polską.

M. THIEDE: — W latach ubiegłych na podstawie umów o współpracy kulturalnej zawartych przez rządy NRD i PRL doszło do wszechstronnej wymiany kulturalnej i naukowej między obydwoma krajami. Głównym celem tej wymiany jest przekazywanie wartości kulturalnych obu narodów, wartości, które służą pełniejszemu porozumieniu i pogłębianiu wzajemnego szacunku. Dlatego systematycznie rozwija się i zacieśnia współpraca kulturalna między naszymi socjalistycznymi, sąsiadującymi ze sobą krajami. Dotyczy to oczywiście w równej mierze rozwoju kontaktów w dziedzinie nauki, których efektywność leży w bezpośrednim interesie obu narodów i ich gospodarki.

ODGŁOSY: — Jakie są formy wymiany kulturalnej i naukowej między naszymi krajami?

M. THIEDE: — Na podstawie wspomnianych już umów, co dwa lata przygotowuje się plany, w ramach których zawierane są następnie bezpośrednie umowy między poszczególnymi związkami twórczymi i placówkami artystycznymi, wyższymi uczelniami, między radiem i telewizją. Solidną podstawę dla wymiany zespołów artystycznych i solistów między obydwoma krajami stanowi podpisany po raz pierwszy na okres dwóch lat (1967/69) protokół między PAGARTEM i Deutsche Kunstleragentur. Dzięki tego rodzaju długofalowemu planowaniu współpraca między obydwiema agencjami nabrała nowego ciężaru gatunkowego. Ten typ umowy jest jednocześnie najlepszym przykładem coraz większej i bogatszej w nowe formy współpracy, nie mieszczącej się już w ramach dotychczasowych planów centralnych.

Przykładem wszechstronnych kontaktów łączących na polu kultury NRD i Polskę jest choćby przyjacielska umowa o współpracy łódzkiego Teatru Wielkiego i Opery Lipskiej. W ubiegłym roku na I Festiwalu Zespołów Baletowych teatr z Lipska przedstawił balet „Albraxas", jesienią zaś na gościnnych występach w Lipsku bawił Teatr Wielki. Stałe miejsce w dorocznej wymianie kulturalnej zajmuje „rodzeństwo filmowe" — Lipsk i Kraków, miasta, w których odbywają się festiwale filmów krótkometrażowych pod hasłem „Filmy świata — dla pokoju świata" lub „Nasz wiek dwudziesty". W listopadzie ubiegłego roku w Lipsku zorganizowano retrospektywny przegląd dotychczasowych osiągnięć polskiego filmu dokumentalnego, będący najbardziej wymownym wyrazem uznania dla polskich twórców filmów dokumentalnych. „Dni Kultury NRD" organizowane w Polsce i „Dni kultury polskiej" organizowane w NRD, liczne spotkania między pisarzami, wydawcami, aktorami, plastykami, muzykami i innymi przedstawicielami świata kultury obu krajów, wzajemny udział w festiwalach i konkursach spełniają rolę pośrednika między Polską a NRD.

Podobną rolę spełnia zakrojona na szeroką skalę współpraca między Akademią Nauk, uniwersytetami, szkołami wyższymi i innymi placówkami naukowymi. Pozwalają one na szeroką wymianę kadr naukowych, studentów, wspólne konsultacje, wykłady itp. W tym roku w ramach praktyk zamiast jak dotychczas 600 studentów, z obu krajów wyjeżdża po 900 osób. Trzeba tu jeszcze powiedzieć o bezpośredniej współpracy wyższych uczelni — na przykład Uniwersytetu Warszawskiego z Uniwersytetem Humboldta, w Berlinie, Uniwersytetu z Lipska z Uniwersytetem we Wrocławiu, czy Halle z Poznaniem. Podobnie współpracują ze sobą Wyższe Szkoły Muzyczne z Warszawy i Berlina oraz szkoła filmowa w Poczdamie ze szkołą łódzką.

Wielostronny program współpracy Akademii Nauk z obu krajów obejmuje przede wszystkim takie dziedziny jak fizyka

KAROL BADZIAK

Z albumu poległych

Śmierć o zmierzchu

Bronisław Kowalski. Zdołał zaledwie zorganizować po wyzwoleniu komórkę PPR w Kamieńsku, a nie minęło parę miesięcy, kiedy bandyci zapukali o zmierzchu do jego domu, wywiedli podstępnie na dwór i wszelki ślad po nim zaginął. Pięt naście minut po bandytach zjawiła się grupa operacyjna Urzędu Bezpieczeństwa w Piotrkowie, ażeby go ostrzec przed grożącym niebezpieczeństwem. O kwadrans za późno. Długo w listopadową noc trwały poszukiwania zaginionego, niestety, bez skutku.

Był człowiekiem prawym, uczciwym, ogólnie przez wszystkich w osadzie szanowanym. Całe życie poświęcił walce o urzeczywistnienie idei sprawiedliwości społecznej. Nowego ustroju doczekał się dopiero w 61 roku życia. Miał 16 lat kiedy wstąpił do PPS, działał na terenie Radomska i Wojciechowa. Brał udział w zamachu na carskiego wachmistrza w Gidlach. Następnie poszedł do wojska. Po paroletniej służbie w Taszkiencie wrócił w 1910 roku do Polski, ożenił się, pracował w fabryce.

Wybuch pierwszej wojny światowej. Ewakuacja do Rosji. Walka po stronie rewolucji. Dostaje się do niewoli niemieckiej. Po zakończeniu wojny powrót z niewoli, praca na kolei. Wstępuje do KPRP. Za akcję w wyborach 1922 roku aresztowany i osadzony w więzieniu. Zwolnienie za kaucją. Przez wiele lat bezrobotny. Potem otrzymuje pracę jako woźny w magistracie piotrkowskim. Druga wojna światowa. Pracuje na kolei, ma wypadek, idzie na rentę.

Zdawałoby się koniec życiorysu. 60 lat, pogodna starość, spokój. Rzeczywiście wraca do swego rodzinnego Kamieńska, lecz nie po to, by kontynuować emeryturę. Zostaje natychmiast wybrany przewodniczącym miejscowej rady narodowej, bez reszty pochłania go praca polityczna. Otrzymuje ostrzeżenia: „Wyjedź stąd, bo zginiesz". Nie da się jednak zastraszyć, zostaje. W końcu otrzymuje wyrok podpisany przez „Warszyca". Drze kartkę w tajemnicy przed rodziną. Nie wierzy w śmierć. Krzywdy w życiu nikomu nie uczynił, dlaczego więc ma się bać.

23 listopada 1945, piątek. W Kamieńsku dzień targowy. Po całodziennej pracy wraca zmęczony do domu, siada do kolacji, wtem puka nie do drzwi. Jakiś znajomy głos wzywa go, ażeby się udał do gminy, ktoś z powiatu przyjechał. Poszedł, kolacji nie dokończył. Znikną na zawsze. Ludzie, z którymi się udał pochodzili z Kamieńska. Unikali potem wzroku jego żony. W dwa lata później otrzymała wiadomość, że grób męża znajduje się w lesie gorzechowskim. Bagnetem znak na drzewie wycięty, to miejsce gdzie można grób odnaleźć Odnalazła żona grób męża. Przeprowadzono ekshumację. Miał na sobie kolejarską kurtkę, buty mu bandyci zdarli, kieszenie wypróżnili, złamali rękę przed śmiercią, górne zęby wgniecione, prawdopodobnie od uderzenia kolbą.

Ukrzyżowanie

Stanisław Kałuża. Miał 19 lat, kiedy wpisano go na listę poległych. Nigdy go nie znałem. Poznaję dopiero dziś, prawie w ćwierć wieku od chwili kiedy z lasu przyszła po niego śmierć. Gorzkie i niepełne to jest poznanie, zbudowane całe ze smutnych wspomnień jego ojca i brata.

Stanisław Kałuża był synem robotnika, włókniarza, mieszkał w Piotrkowie, tam się urodził, tam przed wojną chodził do szkoły i tam przeżył lata okupacji. Cierpki przedsmak śmierci poznał już pod czas wojny. Miał 17 lat gdy został uwięziony przez Niemców jako zakładnik. Błyskawiczne wyzwolenie Piotrkowa uratowało mu życie

Jako dziecko marzył o tym, żeby być fryzjerem, szybko się jednak okazało, że odzyskanej wolności trzeba pilnować z bronią w ręku. Dziś chłopcy w jego wieku noszą gitary, jemu przypadło w udziale nosić karabin. Wstąpił do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. To nie była praca, to była walka, wybór polityczny. Bratobójcza walka o władzę niosła śmierć i dramat. Linia frontu w tej wojnie nie przebiegała wśród okopów, lecz przez sam środek każdego człowieka. Jego znajomy, kolega z tej samej ulicy, syn kolejarza, niejaki Nurkowski wstąpił do podziemia politycznego. Staszek podejrzewał, może nawet o tym wiedział, ale długoletnia młodzieńcza znajomość powstrzymywała go widocznie od aresztowania Nurkowskiego. Zresztą trudno teraz po tylu latach odtworzyć całą prawdę. Nietrudno tylko domyślić się, że dwaj młodzi chłopcy, znający się od dziecka znali również swe przekonania i poglądy. Szczegółów już nigdy się nie dowiemy, obaj zabrali je do grobu.

Staszek Kałuża, mimo swego młodego wieku, był chłopcem poważnym, spokojnym, opanowanym. Dobrze się uczył, był zdolny. Pod wpływem niespokojnych wydarzeń życie szybko wybiło mu z głowy sympatyczny i prowincjonalny zawód fryzjera, zapragnął jak wszyscy młodzi chłopcy w tym czasie pójść do szkoły oficerskiej, zostać żołnierzem. Ojciec wyraził zgodę, nawet na piśmie ponieważ chłopak był niepełnoletni. W połowie kwietnia 1946 roku miał wyjechać do Warszawy, do Szkoły Oficerskiej. Nic w tym zresztą dziwnego, w domu panowała atmosfera wojskowa jak na froncie. Mieszkali w budynku Komitetu PPR Na balkonie stał erkaem, w mieszkaniu znajdowała się broń, amunicja, granaty, pod poduszką mężczyźni trzymali pistolety. Narażeni na ciągłe niebezpieczeństwo, otrzymywali anonimy, ostrzeżenia, pogróżki, wyroki. Trwała zbrojna walka o władzę.

W pierwszych latach powojennych dni kwitły w tym kraju nie tylko odświętną czerwienią sztandarów, lecz również kirem żałoby po tych, którzy ginęli. W rodzinie Kałużów takim czarnym dniem był 6 kwietnia 1946. Tego właśnie dnia na polecenie szefa miejscowego Urzędu, Staszek udał się do Mierzyna. Niechętnie tam jechał, złe wieści dochodziły z terenu powiatu. Wyszedł z mieszkania o ósmej rano. Jeszcze przed wyjściem zatrzymał się w progu i powiedział do ojca: „Tata, gdyby się ze mną coś stało „zaopiekujcie się" Nurkowskim"

O godz 12 ojciec otrzymał telefon, że syn został uprowadzony przez bandę „Warszyca". Natychmiast z grupą 18 funkcjonariuszy i wojskowych udali się samochodem w kierunku Mierzyna. W pobliżu tej miejscowości natknęli się na zasadzkę, zostali okrążeni i ostrzelani ogniem z karabinu maszynowego. Dwóch ludzi zginęło na miejscu, dwóch raniono, reszta zaczęła się wycofywać. Ojciec Staszka zdołał dotrzeć do pobliskich łąk, ukrył się tam wśród torfowisk i tak doczekał zmierzchu. Przez jakiś czas słyszał z oddali głos syna: „Koledzy, ratujcie mnie!" Potem głos umilkł. Banda zrobiła zbiórkę i odeszła. Około 80 dobrze uzbrojonych mężczyzn przemaszerowało kilkanaście kroków od jego kryjówki i skryło się w lesie. Na drugi dzień wyruszyła za nimi obława wojskowa. Jeden z żołnierzy ustawiając na skraju lasu karabin maszynowy natrafił na ciało zabitego. Chłopca przed śmiercią w bestialski sposób torturowano. Bezpośrednim oprawcą był przedwojenny major WP, Rogulko, zastępca „Warszyca". Jedną rękę przybito Staszkowi hakiem do ściany, drugą przyciśnięto wrotami stodoły. Rogulko co 20 minut strzelał z pistoletu to do lewej, to do prawej ręki ukrzyżowanego. Chłopiec po każdym strzale dziurawiącym mu ręce, mdlał, oblewano go wtedy wodą i Rogulko nowy pocisk ładował mu w ciało. Wstrzelił mu w ten sposób osiem kul. Chciał wydobyć od Staszka wiadomości i adresy dotyczące pracowników Urzędu Bezpieczeństwa w Piotrkowie. Następnie zdjęto go z haka i zawleczono do lasu, tam dobił go właśnie Nurkowski. Zwłoki przysypano piachem.

Ojciec Staszka zapamiętał ostatnie słowa swego syna i przez długi czas poszukiwał Nurkowskiego. Ten jednak po dokonanej zbrodni na jakiś czas zniknął z Piotrkowa. Stary Kałuża nie dał za wygraną, pilnie obserwował wieczorami dom jego ojca, aż pewnego razu zauważył Nurkowskiego na stacji. Zatrzymano go i osadzono w więzieniu. W śledztwie przyznał się do morderstwa. Sąd skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano natychmiast.

Błękitny dzień wiosny oświetla cmentarny smutek. Ulice Piotrkowa uśmiechają się barwnym tłumem młodych ludzi. Na cmentarzu szara, zimna, kwatera poległych. Na nagrobkach czytamy napisy z lat 1945 i 1946:

Por. Włodzimierz Kiernicki, oficer WP, pułk kołobrzeski, walczył w Kołobrzegu, zginął na ulicy zastrzelony z ukrycia, żył lat 27.

Antoni Grzesiak, lat 32, zginął śmiercią skrytobójczą.

Stanisław Grzesiak, lat 33, zginął w lasach lubieńskich.

Marian Betka, plutonowy 33 pp, żył lat 24. Zginął w walce z bandami UPA.

Zenon Markiewicz, podoficer UB zginął śmiercią skrytobójczą w Gorzkowicach. Żył lat 23.

Stanisław Kałuża zginął w walce z bandą. Żył lat 19. Część Jego pamięci.

Fot. A. Wach

WACŁAWA KONDKA
RZECZ O PRZEMIJANIU

Twórczość Wacława Kondka od lat zaskakuje nas niezwykłością i bogactwem pomysłów, różnorodnością form i środków wyrazu. A przecież zawsze odnajdujemy w niej ten sam znajomy nastrój i bajkowość — zarówno w rzeźbach-siwakach, w ikonach na surowym drzewie jak i w pejzażach z łódzkich równin i surrealistycznych wizjach jego grafik. Wciąż jest to ten sam Kondek — charakterystyczna kreska rysunku, pociągnięcie pędzlem czy dłutem...

W czytelni Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki otwarto przed paroma dniami wystawę litografii tego artysty. Dziwny, posępny świat, może nawet przerażający i złowrogi, ale wszystko co dzieje się na białych kartonach grafik utrzymane jest w konwencji baśni.

Idziemy więc przez udziwniony świat litografii Wacława Kondka, przez obłe pagóry i urwiska o złych ludzkich twarzach, które zawisły nad przycupniętą w dolinie wioską... Idziemy przez świat zabudowany strupieszałymi ruderami, rozsypującymi się ruinami pokracznych domków z których wyrastają konary bezlistnych drzew, z których wyfruwają w niebo „czarne anioły" — nietoperze, szkielety nietoperzy...

Obsesja nietoperzy — ptaków ze złowrogich baśni, obsesja ginących murów, umierających jak wszystko na tym świecie — po prostu „na starość" — chorobę najstraszliwszą bo nieuchronną, obsesja Don Kichotów wreszcie... Błędni rycerze wyrastają z ziemi i wrastają w ziemię, stają się konarem, rozsypującym się domem. Albo fruną nad umierającym krajobrazem...

Posępna to wystawa i bardzo sugestywna. Twórczością Kondka prezentowaną w czytelni KMPiK nie rządzi radosny, cukierkowy optymizm, ale to właśnie daje tym pracom oddech szerszy, przypomina o sprawach najważniejszych bo ostatecznych. Dla mnie ta seria litografii jest pieśnią o przemijaniu: rzeczy, stworzeń i legend. Przemijaniu tego co tworzyły ludzkie ręce i tego co stworzył ludzki umysł. Kiedy prawdziwy artysta staje twarzą w twarz z Przemijaniem nie może otworzyć wizji radosnych. Ale smutek grafik Kondka nie jest smutkiem przerażonego — wynika ze spokojnej, zamyślonej nad światem mądrości.

J. W.

---

jądrowa, biochemia, elektrotechnika oraz nauki społeczne. W centrum uwagi placówek naukowych znajdują się zagadnienia związane ze zmianami w szkolnictwie wyższym zarówno w NRD jak i w Polsce.

ODGŁOSY: — W bieżącym roku NRD obchodzi 20, a Polska 25 rocznicę swego istnienia. Jak ten fakt wpłynie na tegoroczną pracę kulturalną?

M. THIEDE: — Podjęto liczne poczynania związane z 20 rocznicą powstania pierwszego niemieckiego państwa robotniczo-chłopskiego oraz 25 rocznicy powstania Polski Ludowej. Będą one uwieńczeniem dotychczasowych wzajemnych stosunków kulturalnych. W ramach „Dni Kultury NRD" i „Dni Kultury PRL" obie strony organizują wystawy i imprezy artystyczne, spotkania, tydzień filmu polskiego i niemieckiego, sympozja naukowe, wymieniają programy radiowe i telewizyjne. Miasta nadgraniczne — Szczecin i Rostock, Wrocław i Drezno, Zielona Góra i Frankfurt nad Odrą nawiążą jeszcze ściślejsze kontakty.

Przewiduje się także wymianę czołowych zespołów artystycznych obu krajów, jak na przykład zespołu berlińskiej Opery Komicznej pod kierownictwem Waltera Felsensteina oraz zespołu „Mazowsze". Na „Berliner Festtage" przyjeżdża Teatr Klasyczny z Warszawy, a do Bydgoszczy na Festiwal Muzyki Dawnej orkiestra kameralna z Halle. Poza tym przewiduje się zwiększoną wymianę artystów i mniejszych zespołów estradowych.

ODGŁOSY: — Czytelnika polskiego zaciekawi przede wszystkim stopień zainteresowania kulturą polską w społeczeństwie NRD.

M. THIEDE: — Stosunki kulturalne i naukowe przyczyniają się do pełniejszej informacji i pozwalają ukazać rozwój drugiego kraju. I to zadanie na pewno wypełniamy. Dziś jednak wyłaniają się przed nami nowe potrzeby. Kultura i nauka odgrywają coraz większą rolę w rozwoju społeczeństwa socjalistycznego. Stąd wynika konieczność zwiększenia wzajemnej współpracy zmierzającej do umocnienia ustroju socjalistycznego w naszych państwach W NRD istnieje szeroka informacja o kulturze i nauce wschodniego sąsiada, wynikająca z dużego zainteresowania sprawami polskimi. Wielką popularnością cieszą się książki takich pisarzy jak J. Iwaszkiewicz, T Breza, J. Putrament, M. Moczar, K. Brandys, K. Filipowicz, M. Fornalska, J. Gerhard, S. Lem. Z klasyków Prus, Sienkiewicz, Kraszewski, Mickiewicz, Reymont.

W bieżącym roku w NRD ukażą się „Twarze i maski" T. Różewicza, „Austeria" Juliana Stryjkowskiego i „Pasażerka" Zofii Posmysz.

Podobnym zainteresowaniem cieszy się film polski. Z wyświetlanych ostatnio w NRD polskich filmów największe uznanie zdobyły „Bumerang", „Bokser", „Faraon"; „Westerplatte", „Ściana płaczu"; „Spotkanie ze szpiegiem". „Popiół i diament"; wyświetlano 500 razy. Dobrze znane są polskie filmy telewizyjne „Czterej pancerni i pies" są równie popularni w NRD jak w Polsce. W tej chwili na ekranach telewizyjnych śledzimy przygody kpt. Klossa. Tak jak u Was też w czwartki. Nasi melomani poznali już muzykę Pendereckiego i chór poznańskich „Słowików", a widzowie teatralni z olbrzymim entuzjazmem przyjęli „Żywot Józefa" pokazany przez Teatr Narodowy.

ODGŁOSY: — Jak, zdaniem Pana, przedstawia się znajomość kultury niemieckiej w społeczeństwie polskim?

M. THIEDE: — Wydaje mi się, że możemy być zadowoleni. Wszystkie formy wymiany kulturalnej i naukowej, o których mówiliśmy, pokazują społeczeństwu polskiemu rozwój NRD. Pokazują jednocześnie, że istnieją nowe Niemcy, żyjące w nowych warunkach społecznych i budujące nową socjalistyczną kulturę narodową. Niemcy, które żyją w przyjaźni ze wszystkimi krajami socjalistycznymi, a szczególnie ze swoim wschodnim sąsiadem — Polską Ludową. Zaś wzajemna współpraca kulturalna przyczynia się do wzmocnienia przyjaźni między naszymi narodami.

ODGŁOSY: — Jakie są możliwości dalszego pogłębiania i zacieśniania więzów kulturalnych między naszymi narodami?

M. THIEDE: — Przede wszystkim trzeba jeszcze znaleźć nowe metody i formy współpracy, które by zaspokoiły rozwijającą się w coraz większym stopniu wymianę kulturalną i naukową. Trzeba będzie wprowadzić nowe formy planowania perspektywicznego wymiany kulturalnej i naukowej, pogłębiając przy tym bezpośrednie kontakty między twórcami, naukowcami, placówkami artystycznymi i naukowymi. Regularne spotkania między odpowiednimi resortami w Ministerstwie Kultury i ministerstwach Oświaty i Szkolnictwa powinny w oparciu o dotychczasowe doświadczenia określić dalsze metody realizowania współpracy kulturalnej między Polską a NRD. Metody, które tę współpracę uczyniłyby jeszcze bardziej owocną.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

Z poezji białoruskiej

Przełożył Jan Huszcza

PIATRUŚ BROWKA

Jak liść dębowy...

Nie straszą mnie
Wichrów wycia,
Ni bagna, ni rojst bahunowy.
Trzymam się chciwie życia
Jak gałęzi
Liść dębowy.

Jesienią,
Połyskujący miedzią,
W chmurze chłodu płonie...
Szarpią go zimne wiatry,
A on w odpowiedzi —
Tylko dzwoni.

Gdy zimą
Kołuje zamieć siwa
Albo mróz razi na oślep,
On jak dłonią przykrywa
Gałązki swoich
Odrośli.

I tylko w jasny dzień
Wiosny,
Gdy dookoła kwitnienie —
Przed nowym listkiem radosnym
On cicho spada
Na ziemię.

ARKADŹ KULASZOW

Brzoza

Stoi w zgrzebnej koszuli
Samotna na cmentarzu.
Na korze niejeden ślad kuli
Widnieje wrażej.
Strzelali do niej przybysze, lecz cudem ocalała stoi.

Stoi niby dziewczyna na miejscu stracenia.
Nie płacz, brzozo, nie wylewaj łez swoich,
Ślicznoto.
Zapleć warkocze nad lustrem strumienia,
Ślicznoto.
Ciebie nie rozstrzelano, nie oddano obozom.
Wodzie, polom i ludziom rośnij na radość, brzozo.
1944

ALAKSIEJ KORSZAK

Żurawiny

Zorza, wzorzysta chusta, płonęła,
Obłokiem pąsowym płynął wschód.
Gdy na jezioro spadła — zniknęła,
Utonęła w głębi sennych wód.

Wzniósł się wysoki dzień nad drożyny.
I tylko pozostały w borze
Dojrzałe jak ranek żurawiny —
Krople tej, co utonęła, zorzy.

SIARHIEJ DZIARHAJ

Słucham twoich oczu

Słucham twoich oczu,
Wciąż śpiewają.
Rozumiem tę pieśń.
Odczuwam jej melodię.
Podchwytuję jej rytm.
Serce moje wybija takt po takcie.
Nie, ty nie możesz fałszować.
Nie, ty nie możesz się mylić.
Radość? Tak być powinno.
Rozterka? Tak być powinno.
Przeczucie rozłąki,
Gorycz,
Ból...
A jakże bez tego?
Tak... I spotkania.
Tak... I czułość.
I wszystko inne!
Moja głupiutka, inaczej nie byłoby pieśni.
A ja słucham twoich oczu,
Wciąż śpiewają.

DANUTA BICZEL-ZAHNIETAWA

... Jeziorna kraino,
Zostaw mnie brzózką w polu.

(JAWGENNIA JANISZCZYC)

●

Jak to dobrze,
Ni wiele, ni mało —
Zniknąć w oddalach
Brzózką białą.
Spłoną liście.
Wieczorem czy ranem
Stać się omszałym kurhanem,
Szarą grudą przy piennym gaju,
Którą z daleka śmiechy omijają...

Dlaczego więc smutki niedorzeczne?

To dziwne — przetoczyć swój wóz człowieczy
Śpiewnym gościńcem,
Wśród sosen i rzeczek,
Gdzie ptaki w gniazdach szczebiocą
O tym, co wieczne.

Przypisy:

Piatruś Browka, ur. 1905 roku. W 1931 roku ukończył studia na uniwersytecie w Mińsku. Drukuje swoje utwory od 1926 roku. Autor wielu tomików wierszy, wybitny działacz polityczny.

Siarhiej Dziarhaj, ur. w 1907 roku w Mińsku. Brał udział w partyzantce. Oprócz poezji lirycznej, uprawia także poezję satyryczną. Tłumacz wierszy rosyjskich, polskich, ukraińskich i niemieckich.

Arkadź Kulaszow, ur. w 1914 roku. Autor wielu wierszy, poematów, laureat nagród państwowych, m. in. w 1948 roku.

Alaksiej Korszak, ur. w 1920 roku, studiował w Instytucie Pedagogicznym w Mińsku, w czasie wojny był zwiadowcą, poległ śmiercią żołnierza na ziemi warmińsko-mazurskiej.

Danuta Biczel-Zahnietawa, ur. w 1938 roku pod Lidą, ukończyła Instytut Pedagogiczny w Grodnie, debiutowała w 1961 roku tomikiem wierszy „Serce dziewczyny".

EWA DENYS

Kawałek życia

31 GRUDNIA

Zdecydowałam się odejść. Tak dłużej nie można żyć. Tracę czasem zupełnie poczucie własnej godności, czuję się jak zmaltretowane zwierzę. Nie wiem jak mogłam żyć i mieszkać z nim przez tyle lat udręk, wyrzeczeń i upokorzeń. Podobno jednak człowiek może znieść o wiele więcej niż sam to sobie wyobraża. Wczoraj była znów kolejna potworna awantura z mordobiciem i kopaniem, którą mi urządził po pijanemu.

W taki sposób kończyło się zwykle tak zwane „tango", to znaczy ciąg dni podobnych jeden do drugiego, dni pijanych, dni utopionych w wódce. Mam pokopane nogi i na pośladku siniaka wielkości spodka. Kamilę zdążyłam wypchnąć do sąsiadki, bo pewnie też by jej się oberwało. Dziecko zresztą tak się zawsze przejmuje, że znowu to na pewno odchoruje.

Tak było prze wiele lat. Straciłam już nadzieję, że coś się może zmienić. Wyczerpałam już wszystkie środki, nie mam sobie nic do zarzucenia. Mogę wreszcie zostawić go samemu sobie i odejść bez żalu. Dwanaście razy przy naszym wigilijnym stole padało przyrzeczenie: nigdy więcej. Nigdy więcej wódki. I za każdym razem wierzyłam i przebaczałam. „Nigdy więcej wódki" szybko jednak łagodzone było na „nigdy więcej wódki w nadmiernych ilościach", bowiem jak tu obejść się bez poparcia tych najszczerszych życzeń „zdrowia, szczęścia", albo „stu lat", owym najbardziej przekonywającym argumentem — kieliszkiem cytrynówki własnej roboty.

Na tym jednym nigdy się nie kończyło. W ciągu długich dwunastu lat, po pierwszym niezmiennie następował drugi i dziesiąty, aż myliła się wreszcie rachuba tych kieliszków i po pierwszym dniu nieuchronnie nadchodził drugi i trzeci i piąty, a długie doświadczenie pozwalało ocenić ilość wypitej wódki jednym spojrzeniem w mętniejące oczy, ocenić po pierwszym bełkotliwym słowie powiedzianym już w samym progu, powiedzianym choćby przez telefon. Doświadczenia tego nabyłam nie tylko ja w ciągu tych lat.

Smutniejsze jest, że owo doświadczenie posiada także moja mała córka. Przecież jednak kochała ojca tak jak wszystkie dzieci i tak jak wszystkie dzieci chciała go mieć. Wszakże nadszedł dzień, kiedy płacząc wyznała mi z trudem, starając się powstrzymać od łez, jak bardzo się go boi, gdy wraca do domu pijany, jak bardzo boi się nie tylko o siebie, ale i o mnie. Niejednokrotnie podziwiałam wcale nie dziecięcą dyplomację mojej córki z jaką odpowiadała na bełkotliwe pytania zadawane przez pijanego ojca. Zdecydowałam teraz, że nigdy więcej nie będzie potrzebowała jej używać.

2 STYCZNIA

Ludzie, którzy leżą w szpitalu czują się bardzo samotni. Czują, że są daleko od swych bliskich, sami tylko ze swoim mniejszym lub większym cierpieniem. Niektórzy zawierają krótkie szpitalne przyjaźnie ze współtowarzyszami niedoli, przyjaźnie, które zwykle nie wychodzą poza szpitalne mury, inni znużeni i przygnębieni widokiem choroby w pobliżu, a także własnym cierpieniem, szukają pociechy u zdrowych, przeważnie u pielęgniarek, rzadziej u lekarzy. Najbardziej osamotnieni czują się ludzie starzy, których rzadko kto odwiedza w dnie wizyt — i dzieci, mało jeszcze na samotność odporne. W pierwszych dniach mojej pracy w szpitalu, owe dzieci to było po prostu imię i nazwisko wpisywane do wielkiej księgi przyjęć. Później dopiero zaczęłam poznawać ich buzie, a jeszcze później, kiedy już zatarł się obraz ich twarzy, pozostało wspomnienie małych, gorących serduszek. Wszystkie szpitalne pielęgniarki i salowe to ciocie. Dzieci tak je nazywają, by mieć złudzenie, że są to osoby bliskie. Ten zwyczaj bardzo mi się podoba.

10 STYCZNIA

Dzieci są różne, śmiałe i nieśmiałe, ładne i brzydkie, uśmiechnięte i smutne, wszystkie jednak biedne, chore, z bolącymi zreumatyzowanymi kończynami i zmianami w serduszkach, wszystkie samotne i stęsknione za domem. Nie, niezupełnie wszystkie. Bywają dzieci, które trafiają do nas z Domu Dziecka — te są przyzwyczajone do życia w takiej gromadzie i nie odczuwają zmiany, nie mają też za kim tęsknić. Bywają z Izby Dziecka, gdzie przebywały okresowo, bo matka prostytutka i ojciec złodziej, po jakiejś rozróbce, czy nieudanym skoku, aktualnie siedzieli w więzieniu. Takie dzieci niechętnie później odchodzą ze szpitala, bo mają tutaj zawsze pełne brzuszki i kolegów, którzy nie znając ich sytuacji, nie dokuczają im jak to bywało gdzie indziej.

Czasem, kiedy z gabinetu przyjęć słyszę głośny płacz, wiem już: to rozpieszczony dzieciak nie chce u nas zostać. Trzeba długich perswazji, aby uspokoić pochlipującego, czy rozwrzeszczanego malucha. Czasem jednak przechodząc słyszę cichutkie, nieśmiałe szlochanie i wiem także: któreś wraca do Izby Dziecka. Jednym spojrzeniem oceniam jak bardzo nie chcą się rozstawać z nowo pozyskanymi przyjaciółmi, z ciocią Teresą i ciocią Małgorzatą. Wypisywałam dzisiaj 10-letniego Marka, który przyszedł do nas z Izby Dziecka. Chłopiec rozpaczliwie płakał wsadzając pięści w oczy. Nie mówił nic, tylko kurczowo trzymał za ramię siostrę Teresę. Kiedy wyszedł, widziałyśmy oknem jak odwracał się i machał ręką co chwilę gestem jakiegoś tragicznego pożegnania i chociaż nie widać już było jego łez — uciekłam od okna.

15 STYCZNIA

Wieczorem byłam u moich podopiecznych. Nie napisałam jeszcze, że jestem inspektorem sądu dla nieletnich i w związku z tym mam pod swoją opieką kilka rodzin, gdzie są tzw. „trudne dzieci", ewentualnie „trudni rodzice".

Czwórka dzieci ustawionych jedno obok drugiego utworzyłaby „drabinkę". Najmłodszy Grześ ma 10 lat, jest w drugiej klasie. Ma żywe, czarne oczka i usmarkany nos. Potem jest Hanka — dwanaście lat, jest także w drugiej klasie. Wydaje mi się, że jest lekko niedorozwinięta, ma gapiowatą, nieruchomą twarz. Trzeci, piętnastoletni Henio jest najinteligent-

TERESA NIEWINOWSKA

WSPOMNIENIE

Cztery dni podróży mijały wolno. Lipiec — okna we wszystkich przedziałach spuszczone dokładnie, do oporu. Gorączka lata i gorączka powrotu.

Wszyscy mówią, wspominają — jedni cieszą się, myślą o spotkaniu najbliższych, inni snują plany — marzenia o przyszłości. Wracam znów do kraju, do swoich.

Opuszczałam Warszawę — zda mi się bardzo dawno — trzy lata dla młodej dziewczyny to wieki. Trzy lata zaciążyły niezatartym piętnem obozu, poniewierki i samotności w tłumie. Prawda, że samotność częściowo zniknęła — wyszłam za mąż. Wracam do kraju z bliskim mi człowiekiem Znalazłam tam, na obczyźnie, cząstkę zagubionej rodziny. To jest dużo a jednocześnie bardzo mało. Może tylko ja, tak głupio tęsknię za tym polskim kawałkiem ziemi, która zda się, jest wszędzie jednakowa.

Mijają tygodnie, miesiące i lata a mój dom na obczyźnie zawsze tchnie pustką. Wydaje mi się hotelem, kwaterą lub jakimś innym przejściowym miejscem zamieszkania. Wiem, że nie wytrzymam. Nostalgia to jednak poważna i groźna choroba. Muszę wrócić! Chcę wrócić i żyć wśród swoich. Nie przeraża mnie rzeczywistość, chociaż podawane z ust do ust wieści z Polski są dziwne, takie jakieś nie „nasze", nie polskie. Wiem jedno — nie ma Niemców — nie może być więc źle. Chyba Polak potrafi zrozumieć Polaka, potrafi wczuć się w jego wielką tęsknotę za krajem i potrafi uwierzyć w tę nieodpartą chęć pomocy w odbudowie ojczyzny. Tak rozmawiają ludzie w przedziale — „To, co mówią głupcy, to bujda. Propaganda sieje złe nastroje, są tacy którym zależy na białych murzynach..." — Tak mówią ludzie w przedziale.

„Wszyscy walczyli, to prawda, że w rozmaitych dywizjach — tak, to prawda. Ale czy tam przelana krew była inna, rany mniej bolały, czy ucięte nogi i ręce wyrastały może z powrotem. A może rozprute brzuchy i rozwalone czaszki zrastały się? — Nie!" Tak mówią wracający do kraju ludzie w przedziale. Mój mąż cieszy się Zobaczy matkę i ojca. Nie widział ich bardzo dawno. Cieszy się a jednocześnie się lęka. Ja jestem pełna entuzjazmu i radości. Wiem, że ten lęk to nie może być prawda. Popatrz! — mijamy nasze miasteczka, nasze wsie. Wszędzie Polacy, Polacy, Polacy! Po prostu nie do wiary.

Jadę pierwszy raz w życiu do Łodzi — miasta mojego męża. Marzyłam o powrocie do Warszawy, tak bardzo ją kocham. Może jednak kiedyś, jakoś tam wrócę.

I potem powitanie... pamiętam dużo, dużo łez. Rodzice męża tacy starzy, schorowani i bardzo potrzebują opieki — a tu łzy, łzy i takie jedno ciche zdanie „synu, po co przyjechałeś". Tęsknili bardzo, chcieli zobaczyć, uściskać, poznać żonę, usłyszeć wszystkie opowieści, te straszne wojenne. Ale mimo wszystko bali się powrotu syna. I znów słowa, słowa i słowa... „Nie ułożysz sobie życia, nie dostaniesz pracy. Takim jak ty pracy nie dają". — Alez mamo, co ja zrobiłem? Przecież nie mam ani jednej czarnej plamy na sobie. Polaków los rzucał rozmaicie. Tam gdzie ich rzucił, tam walczyli — o co — no przecież o Polskę. Właśnie o to, żeby wrócić, żeby móc pracować, zbudować własną rodzinę, własny, polski dom".

Życie wzięło nas w swoje tryby. Zaczęło się szukanie pracy Mąż miał 4 lata politechniki — wydział mechaniczny. Niby to już coś, a jednak nic. Jego wiadomości okazały się nieprzydatne.

Mijał trzeci miesiąc. Postanowiliśmy, że najpierw on zaczepi się a potem ja. Na razie chorowałam, miałam silną nerwicę. Wuj, lekarz pomógł mi — leczył on, leczyli jego koledzy. I czułam wtedy, że jestem w Polsce między swoimi. Gdziez by tam na obczyźnie taka pomoc Byłam wdzięczna. Leczyłam się i z niepokojem śledziłam wysiłki męża. Aż przyszedł dzień, że dostał pracę. To była bardzo dobra chwila. Cóż, że nie w jego zawodzie, cóż że pensyjka maleńka. A jednak praca! Zaczynamy przyrastać do miejsca. Zaczynamy marzyć... Teraz wyruszam na poszukiwania. Nie będę skrupulatnie opisywać wszystkich miejsc, które zwiedziłam, wszystkich wygłaszanych, mądrych zdań. Nie mając talentu trudno opisać miny kierownikow czy dyrektorów, którzy papiery moje oglądali tak, jakby parzyły im ręce. Byłam uparta, szukałam dalej przez Urząd Zatrudnienia. Może legalnie, bez znajomości, będzie lepiej. No i tak, przyszła ta chwila. Rozmawiali ze mną bardzo uprzejmie. Owszem, potrzebna sekretarka. Proszę jutro przynieść papiery. Pół nocy myślałam, co zrobić, jak iść bez papierów, po co komu takie świstki — że repatriantka, że obóz jeniecki, no a obóz jeniecki, to wiadomo, AK Idę rano jak na ścięcie. Serce ściśnięte. Strach. Jakiś pan uprzejmie zaprowadził mnie do dyrektora. Musiałam być chyba blada. Usiadłam a papierki szeleściły i była cisza.

W domu znów rozmowy Układamy plany na przyszłość. Chcemy mieć dwoje dzieci. Obliczamy nasze możliwości finansowe. Matka moja pomaga, mąż dostaje zlecone prace. Jakoś wytrzymamy. I przychodzi druga córka na świat. Koledzy męża śmieją się, mówią „dam ski krawiec" i w ogóle dogryzają. Nie szkodzi — córki są bardzo kochane. Jestem w domu, wydaje się — jak w najcięższej pracy. Trudno uwierzyć, ale tania gospodarka wymaga wielu umiejętności i dużo czasu. Ugotować bardzo tanio i bardzo smacznie, uszyć, połatać, poprać, poprasować. Sprzątanie małe i duże, maluję sama okna i drzwi. Ostatecznie malowanie to nie taka znów sztuka! No, jednym słowem robię co mogę, aby mężowi było lżej. Ale jednak zawsze — coś kłuje mnie w okolicy serca. Wiem co — chcę pracować. Kocham dom, męża i dzieci, ale marzę o pracy. Teściowie umierają — byli bardzo dobrzy. Starałam się być zawsze dobrą synową. Zgrzytów domowych było niewiele. Wszystkie sąsiadki-przyjaciółki zazdroszczą mi męża. Mówią „ma kobieta szczęście". A no ma. Szczęście trzeba umieć zbudować, ale też trzeba umieć je utrzymać. Nawet wielki gmach upada, gdy jest zaniedbany.

Dzieci rosną. Razem z dziećmi rośnie Łódź. Zaczynam naprawdę bardzo lubić to miasto. To nic, że są jeszcze ciasne ulice, przyzwyczaiłam się. Widzę jednak coraz więcej zieleni, nowych domów — widzę rozkopane ulice. To kanalizacja, to kable elektryczne, to woda i gaz — rozkopane tu, rozkopane tam. Fronty budynków otrzymują nowe szaty. Robi się jakoś jaśniej i czysto. Moje córki kochają Łódź — dziwią się bardzo, że

można kochać inne miasto — na przykład Warszawę.

A życie biegnie dalej i dalej. Moja matka przechodzi na rentę i przenosi się ze wsi do nas (była nauczycielką) pilnować dzieci... a ja, ja szukam pracy!

Zbrzydzono mi mój zawód, kiedyś, wtedy. Chcę robić zupełnie coś innego. Zapisuję się na kursy przetwórstwa z tworzyw sztucznych. Siedzę jak na tureckim kazaniu — okropnie dziwne nazwy, dużo chemii, chaos w głowie. Ale to były tylko początki. Wykładowca, młody magister chemii jest rewelacyjny. Jego wykłady zaczynają tak jakoś jasno układać się w głowie. Prowadzi je bardzo ciekawie, przeplata suche wzory przykładami z życia, z rozmaitych fabryk i zakładów. Teoria, teoria, teoria. Zaczynają się jednak i godziny praktyki. Bardzo mnie to wszystko wciąga. I okazuje się, że lubię maszyny, one żyją — żyją lepiej lub gorzej, w zależności od nadanego im kierunku. Kurs kończę jako prymus. Tego się naprawdę nie spodziewałam. Dostałam pracę! Teraz wiem, że to jest już mój zawód — zawód frapujący. Pierwsze miesiące pracuję przypracach wykończeniowych, układam rozmaite elementy z tworzyw sztucznych. Parę miesięcy pracuję na prasie a następnych parę na wtryskarce ręcznej. W międzyczasie interesuję się innymi tworzywami przeprowadzając próby i doświadczenia w warunkach laboratoryjnych — mam masę szczęścia Poznaję tworzywa termoplastyczne i termoutwardzalne, żywice epoksydowe, glibtalowe itd. itd. Poznaję literaturę, śledzę rozwój tworzyw i oprzyrządowania. I przychodzi moment — piękny nowy automat wtryskowy. Jest duży i taki zgrabny, jeszcze takiego nie widziałam. Studiuję dokumentację. Muszę dobrze poznać swoje przyszłe nowe dziecko. Jestem jedyną kobietą na sali wtrysków Trochę się boję — i maszyny i ludzi. Mężczyźni uśmiechają się ironicznie: „Abo to da radę. Takie wielkie formy zmieniać, ustawiać wszystkie parametry. Namarnuje surowca i tyle". Kierownik też jest niepewny — jest nowym pracownikiem i sam dobrze nie zna tych maszyn. A no cóż — muszę sobie poradzić! Pierwszy rozruch, pierwsze tygodnie...

Cała rodzina interesuje się pracą mamy. Dzieci muszą koniecznie zobaczyć tego ukochanego ENGLA. Oczywiście przychodzą. Idzie cała rodzina, dwie córy i mąż. Jest sobota — popołudnie. Piękna słoneczna pogoda. Nie przerywam pracy, zmniejszam jednak szybkość wtrysku. Dzieci z namaszczeniem oglądają każdy szczegół maszyny. Wsłuchują się w każde jej drgnienie. — „Mamusiu, ja nacisnę ten guzik" — cichy szept. Bardzo proszę, no chodź, masz już 9 lat, jesteś duża. Zaczynam córce tłumaczyć cały cykl wtrysku. Powoli, dokładnie, wraz z pracą maszyny. Za chwilę paluszek z nabożeństwem naciska wskazany guzik. „Och, mamusiu, ja też pracuję na maszynie". Młodsza Dorotka stoi zafascynowana. Ona się boi, stoi z daleka i patrzy. Mąż śmieje się, koledzy się cieszą i dowcipkują.

Dzieci rosły, babcia gospodarowała, miałam pieniądze aby oddać pranie i szycie. I miałam czas, czas dla siebie. Świadomość polityczna narastała we mnie z każdym miesiącem. Zaczęłam dużo czytać, ciekawiły mnie szczególnie materiały z okresu okupacji i powstania. Rozjaśniły mi wiele spraw. I zrozumiałam, że wtedy, kiedy ofiarna młodzież niosła swoje życie i krew w ofierze, ludzie dorośli, politykierzy robili politykę. Cóż im była krew młodzieży — te ofiary — oni byli żądni władzy, oni za wszelką cenę pchali się do żłobu. I po co? Po to by powtórzyć rok 1939. Tak, zaczynam zupełnie jasno widzieć swoje bolące sprawy i zrozumiałam tych, co bronili Polskę przed wielką omyłką. Trzeba nieraz poświęcić coś, aby zdobyć więcej. Najpiękniejsza idea może być czasem wykorzystana przez jakieś jednostki na zło. Ale przecież to nie znaczy, aby z niej coś ubyło. Ona nadal zostaje piękna. Tak winniśmy wychowywać naszą młodzież, oni muszą to pojąć, muszą zrozumieć. To przecież oni przejmą kiedyś spuściznę. Biją się o sprawiedliwość — niech sami kiedyś będą sprawiedliwi. Wytykają kliki — niech sami kiedyś ich nie tworzą. Życie jest piękne, tylko trzeba trochę wysiłku aby je takim utrzymać. Nie można od razu od ludzi wymagać za wiele, trzeba uczyć, trzeba dawać a potem brać".

Zdałam egzaminy czeladnicze, potem mistrzowskie. Powiedziano mi w Izbie Rzemieślniczej, że jestem trzecią kobietą w Polsce z tytułem mistrza w przetwórstwie tworzyw sztucznych.

Od owej chwili przeszłam przez wiele działów przedsiębiorstwa. Poznałam w zasadzie całokształt jego pracy. Stojąc już na „mocnych nogach" zadeklarowałam swój udział w Partii. Dlaczego zrobiłam właśnie tak. Często bowiem słyszałam „zapisał się do partii, bo chce zrobić karierę". Okropnie bałam się spotkać z takim zdaniem.

Ale nie — stoję mocno na nogach, sama wypracowałam tę pozycję — a Partii mogę pomóc, chcę pomóc. Widzę Jej mądrość i wysiłki, wielkie wysiłki wkładane w nasz ciągły systematyczny rozwój.

(Fragment pracy wyróżnionej w konkursie na wspomnienia kobiet).

---

niejszy z całej trójki — chodzi do piątej klasy. Nie ma czasu na naukę, bo zajmuje się całym domem. O szkole mówi jak o czymś drugorzędnym, na co naprawdę nie warto tracić czasu. Wszystkie dzieci chodzą do szkoły specjalnej. Każde wygląda na kilka lat mniej, niż ma naprawdę. Najstarszego 17-letniego Tolka nie ma w domu, chadza już własnymi niezbyt prostymi ścieżkami. Rodziców także nie ma w domu. W ciągu kilku miesięcy zastałam tylko raz ojca i raz matkę. Obydwoje byli pijani.

Kiedy staję w progu, dzieci zwykle wpadają w lekki popłoch. Uprzątają największy bałagan, przywiązują po kątach trzy szczekające psiaki i sadzają mnie na honorowym miejscu przy stole. Okazuje się, że gotują obiad. Henio miesza rosół w garnku. Jest wpraw dzie trochę późno na obiad, bo godzina ósma wieczorem, ale oczywiście lepiej późno niż wcale. W garnku gotuje się kura, podobno mama przyniosła. Ale za chwilę głupkowata Hanka wysypuje, że kurę ukradł Henio na jakimś podmiejskim podwórku. Pytałam o rodziców. Dzieci mówią, że nie wrócili jeszcze z pracy. Wiadomo, że oboje wrócą pijani. Matka trudni się nierządem, a ojciec pije po całych dniach i nocach. Pije także i chuligani się najstarszy syn 17-letni Tolek. Kiedyś jesienią gdy przyszłam tu wieczorem, dzieci na obiad smażyły ryby złowione przez Henia w stawie hodowlanym, po większej części utrzymują się więc z kradzieży. Trzeba będzie pisać wniosek o pozbawienie rodziców władzy rodzicielskiej i umieszczenie dzieci w Domu Dziecka. — Pani zajrzy do nas jeszcze! — żegnały mnie kiedy wychodziłam.

11 LUTEGO

Byłam kiedyś na przyjęciu u bardzo szanowanych ludzi o wielkich zasadach moralnych. Syn ich, wówczas student, przyprowadził narzeczoną, dziewczynę, która od pewnego czasu bywała w ich domu, bardzo miłą, wytworną, dobrze ułożoną, którą wszyscy byli oczarowani. Była zachwycająca, z dużym poczuciem humoru, o żywej, błyskotliwej inteligencji, o niewypowiedzianym wdzięku. Z każdego jej ruchu emanował jakiś nieuchwytny czar, czy było to pochylenie głowy, czy uśmiech, spojrzenie, czy po prostu ruch pięknej ręki, którą unosiła kieliszek. Zachowywała się bez zarzutu. Byłam wtedy w towarzystwie pewnego oficera milicji, który poznał w tej pięknej dziewczynie osobę wielokrotnie notowaną przez obyczajówkę niepoprawną, bez żadnych skrupułów moralnych, oddającą się nie tylko za jeden obiad, ale która tak niewysoko szacowała swoją młodość i swoją urodę, że oddawała się komukolwiek, choćby za dziesięć, albo dwadzieścia złotych, za fundę do kina, za kilogram owoców. Dziewczyna liczyła wtedy pewnie na dyskrecję i rycerskość tego oficera i nie przeliczyła się. Później zresztą cała rzecz i tak wysypała się w niedługim czasie, kiedy po grubej awanturze wywalili ją z „Akademika". Inna znowu dziewczyna, jedna z moich podopiecznych, kładła się z każdym do łóżka, po prostu z dobrego serca. Nawet nie dlatego, aby ponosił ją temperament, nie. Wystarczyło, żeby któryś z biednych studentów pożalił się przed nią na samotność, uśmiechnął się do niej, kiwnął na nią palcem.

17 LUTEGO

Ci, którzy byli kiedyś poważnie chorzy i leżeli w szpitalu, wiedzą, że tu czasem największym, najgorętszym pragnieniem jest by ktoś podał lub zabrał basen.

25 LUTEGO

Wczoraj byłam pierwszy raz u pewnej rodziny, nad którą będę miała nadzór. Ojciec pijak, matka sama utrzymuje czworo małych dzieci. Nie wyobrażałam sobie, że można żyć w takich warunkach. Maleńka izba, w której mieszczą się tylko dwa zsunięte małżeńskie łóżka i kuchenka zastawiona garnkami, jakiś mały kulawy stolik i odrapana szafka. Jest tak ciasno, że nie ma gdzie usiąść. Zaskoczona stanęłam w progu. Na łóżku spał mężczyzna w brudno-białej, rozpiętej na piersiach koszuli. Wokół niego siedziało czworo dzieci patrzących na mnie ciekawymi oczkami. Mogły mieć z cztery, sześć, osiem, dziesięć lat. Było zimno.

— Tata, obudź się, tata obudź się — szarpały śpiącego mężczyznę. Tata jednak pobełkotał trochę i przewrócił się na drugi bok. Był kompletnie pijany. Dzieci powiedziały mi, że mama poszła do pracy, no a tata — sama pani widzi — śpi. Zresztą lepiej żeby się nie obudził, bo tak to bije.

5 MARCA

Na wewnętrznym jest śmieszna, mała dziewczynka z Domu Dziecka, rozczochrany rudzielec, która niezmiennie wprowadza w zakłopotanie ordynatora oddziału zarzucając mu rączki na szyję i wrzeszcząc: „tata!". Jest tam także chłopiec, dorastający cwaniaczek, który mnie wprowadza z kolei w zakłopotanie, gdy przychodzi i z poważną miną przez kilka minut mówi, że jestem miła, dobra, ładna i dopiero po tych wstępach pyta o listy. A jeżeli ich nie ma, to z przejęciem powtarza mi: „ale ciociu, jak przyjdzie list, to zaraz, na pewno zaraz niech mi ciocia go przyniesie"!

Z tymi listami to całkiem osobna historia. Niektóre dzieci dostają listy, a tym, które ich nie otrzymują jest bardzo przykro.

Te, które ściskają list w ręku, odchodzą z uśmiechem, te, do których list jeszcze nie nadszedł — z zawodem w oczach, a te, do których nigdy nikt nie pisze — z ukrytą łzą. Moja klasa przecież obiecała mi, że napisze — mówili z żalem.

30 MARCA

Wczoraj przejeżdżał szybko ciężarowy samochód. Hamował z trudem, dzieci ledwie uskoczyły na boki. Mały kotek pozostał na jezdni. Kierowca zatrzymał, aby głośno nawymyślać dzieciakom. Potem ruszył nagle i gwałtownie najechał na kotka z tym bezmyślnym okrucieństwem, którego nigdy nie wybacza się dorosłym. Dzieciaki zbiły się w przerażone stadko, podniosły kota z przetrąconym kręgosłupem i odeszły gdzieś, głośno płacząc.

Jestem zwykłą kobietą, której każdy dzień podobny jest jeden do drugiego, chociaż każdy jest inny i nie wiem czy słusznie zrobiłam posyłając Wam ten pamiętnik.

Zdecydowałam się jednak i leży oto przed Wami — jak kromka odkrojona z bochenka codziennego chleba — kawałek mojego życia.

(Fragment pracy nagrodzonej I nagrodą w konkursie na wspomnienia kobiet)

ELŻBIETA ŁUKASIEWICZ

TRZY jubileusze

Fot. W. Parys

Rok 1969 stanowi w życiu Zdzisława Głowackiego datę zupełnie szczególną, by nie rzec pompatycznie, godną upamiętnienia. Jest to dla artysty rok po trzykroć jubileuszowy: upływa właśnie dwudziesta rocznica rozpoczęcia samodzielnej pracy twórczej, dwadzieścia lat pracy pedagogicznej oraz dwadzieścia pięć lat aktywnej pracy społecznej. Rozpiętość gatunkowa działalności Głowackiego jest wyznacznikiem typu jego osobowości, łączącej harmonijnie refleksyjną naturę artysty z temperamentem społecznika i organizatora.

Proponuję krótki. rekonesans w poszukiwaniu tego, co stanowi u Głowackiego istotne JA artystyczne: jaka jest jego postawa twórcza zobiektywizowana przez konkretne fakty jego obrazów? *„Mój dyskurs z publicznością rozpoczął się równo dwadzieścia lat temu, gdy to w 1949 roku na Ogólnopolskiej Wystawie pod hasłem „Sport w sztuce" po raz pierwszy eksponowałem, sukcesywnie, swoje grafiki. Był to niejako bilet wstępu do czynnego uczestnictwa w życiu artystycznym".*

Wykres graficzny twórczości malarza stanowi linię bardzo niespokojną, jest on wykładnikiem ciągłych poszukiwań właściwych środków ekspresji dla wyrażenia bogactwa doznań, przeżyć i przemyśleń współczesnego artysty. Jest coś spontanicznie młodzieńczego w tych ciągłych próbach ustosunkowania się do aktualnych tendencji malarskich, jakaś pasja określenia się wobec całego bogactwa problemów, jakie przynosi nasza współczesność.

Nurty, do których Głowacki zgłaszał akces to koloryzm, malarstwo ekspresyjne, kubizm, taszyzm, socrealizm; abstrakcja liryczna rozpoczęła epokę malarstwa nie figuratywnego. *„Przyszłość sztuki malarskiej* — mówi artysta — *to abstrakcja, malarstwo przedstawiające wyeksploatowało się już w sensie odkrywczym. Ponadto dla wciąż świeżych bodźców cywilizacyjnych ustawicznie szukać winniśmy zupełnie nowych środków wyrazu — inspiracje pozaartystyczne stanowią przecież gross wszelkich doznań".*

Wizualną formułę swych pierwszych obrazów abstrakcyjnych wyrażał Głowacki przy pomocy zróżnicowanych i zarazem wysublimowanych plam barwnych. Rozmaite ich konfiguracje pełniły w procesie przekazywania widzom własnych doznań, nader istotną funkcję semantyczną.

Artysta w poszukiwaniu nowych środków ekspresji począł wzmacniać i upraszczać kolor, przy jednoczesnym wzbogacaniu faktury przez wkomponowywanie w obraz udrapowanych tkanin. Nierówności powierzchni tych obrazów — reliefów tworzyły owe szczególne i wieloznaczne formy przestrzenne, zależne od zmiennej i przypadkowej gry świateł, *„Iluzoryczność przestrzenna obrazu przeżyła się, już dawno nie satysfakcjonuje ani twórców ani widzów, obecnie dąży się do realizacji idei konkretnej przestrzenności, trójwymiarowości obrazu".*

Całkowicie odmienne rozwiązania techniczno-formalne zdeterminowały sens i wymowę ostateczną obrazów Głowackiego: powstawały jakieś nowe rzeczywistości, wyrażające nie tyle emocje twórcy, co organizujące przeżycia samego widza. Struktury malarskie, atakują wyobraźnię widza w sposób zupełnie niejednoznaczny, pobudzając go do samodzielnych operacji intelektualnych.

Powstaje szerszy margines dowolności interpretacyjnych obrazu, a akt kreacji zachodzi już nie tyle w sferze świadomości twórcy, co w imaginacji odbiorcy. W strukturze przekazu treści obrazu zaakcentowany został nowy moment, który w sposób niesłychanie konstruktywny wpłynął na rozwój świadomości plastycznej perceptora.

Pozostając wciąż aktywnym plastykiem (obok malarstwa sztalugowego uprawia on również grafikę użytkową, malarstwo ścienne jako też architekturę wnętrz) Głowacki jest również czynnym organizatorem życia PWSSP, w której to pełni funkcję rektora i profesora katedry rysunku i malarstwa.

Spektakle tygodnia

Teatry	Spektakle	Widzów	Procent
WIELKI			
„Cyrulik sewilski"	1	1260	100
„Pan Twardowski"	1	1260	100
„Zemsta nietoperza"	1	1260	100
„Romans gdański"	1	1260	100
NOWY			
„Księżyc świeci nieszczęśliwym"	1	700	100
„Dziś do Ciebie przyjść nie mogę"	3	2100	100
JARACZA 7,15			
„Wesele"	2	866	70
„Znamy cię tylko z widzenia"	2	712	85
POWSZECHNY			
„Kawior i kaszanka"	2	1320	100
„Szelmostwa Skapena"	1	520	85
OPERETKA			
„Turniej w Rio de Maracasso"	3	2201	70
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ			
„Psy"	2	367	70
„Mieszczanie"	3	1145	100
FILHARMONIA			
„Stabat Mater"	1	280	55

PÓŁKA z książkami

MIT I HISTORIA WOJNY TROJAŃSKIEJ

Opowieść Homera o wojnie trojańskiej znamy dobrze ze szkoły, z mnogości przeróbek, z filmów i sztuk teatralnych. Było też w Polsce kilka całkowitych przekładów Iliady, z których najwybitniejsze są Jana Czubka i Ignacego Wieniewskiego. Ale książka dziś sygnalizowana to coś innego — to mit i historia oblężenia Troi napisana dla współczesnego Czytelnika, oczyszczona z niejasności i poetyki, podana językiem prostym i uwzględniająca współczesne odkrycia historyczne.

Nie ma potrzeby specjalnie zalecać walorów tej pięknej opowieści o wojnie i miłości, o męstwie i zdradzie. Większość Czytelników zna lepiej lub gorzej, ale zna dzieje owej wojny najsłynniejszej w historii. Nie do lektury zatem zachęcam, ale do kupna przede wszystkim. „Wojna trojańska" Aleksandra Krawczuka jest bowiem książką, która winna się znaleźć w każdej podręcznej bibliotece inteligentnego człowieka, jest książką do której będzie się powracać jak do młodzieńczych lektur. Edytorsko przygotowano „Wojnę trojańską" bardzo starannie — znajdziemy tu i słowniczek ważniejszych postaci epopei, cenne przypisy, bibliografię oraz wkładkę z ilustracjami z epoki — reprodukcje malowideł z greckich waz, fotografie Tirynsu, Myken i Troi.

Aleksander Krawczuk „Wojna trojańska". Wiedza Powszechna 1968, cena 25 zł.

DZIEJE GANGU

Jerzy Rawicz wydał lat temu parę pasjonujący reportaż z lat międzywojennych pt. „Generał Zagórski zaginął..." Tematyce politycznych afer tamtych lat pozostał wierny i w swej najnowszej książce o dziejach gangu doktora Łokietka i „Taty" Tasiemki. Jest to właściwie wielki reportaż z lat międzywojennych dokumentowany materiałami archiwów, prasy tego okresu, informacjami wydobywanymi z ludzkiej pamięci...

Doktor Łokietek i „Tata" Tasiemka — przywódcy PPS-owskiej milicji, twórcy partyjnych bojówek — ludzie o pięknych kartach działalności z czasów walki z caratem (dr Łokietek był poza tym znakomicie zapowiadającym się naukowcem-chemikiem) stali się w okresie międzywojennym zwykłymi bandytami, szefami gangu, który rządził w sferach przestępczych Warszawy.

Na kartach tej książki odnajdziemy krwawe rozprawy z przeciwnikami politycznymi, postacie ministrów i bandytów, piłsudczykowską mafię z jej zakulisowymi rozgrywkami — słowem cały „kuchenny" sztafaż politycznych posunięć tamtych lat. Książkę Rawicza czyta się jak kryminał — w dodatku kryminał operujący wyłącznie faktami, nie fikcją literacką i stąd walory poznawcze tego reportażu. Walory te powiększa jeszcze strona graficzna książki — dziesiątki ilustracji, fotografii, fotokopii dokumentów... Oczywiście nie jest to lektura do poduszki, ale każdy kto interesuje się najnowszą historią Polski winien zapoznać się z dziejami tego niezwykłego gangu.

Jerzy Rawicz „Doktor Łokietek i Tata Tasiemka. Dzieje gangu". Czytelnik 1969, cena 40 zł.

PAMIĘĆ SERCA

„...czy byłem teraz w stanie wejść tam i dokonać tego, czego miałem dokonać, skupić uwagę na temacie..." — tak zaczyna się powieść Jana Marii Gisgesa i zdanie to ciągnie się przez najbliższe kilka stronic. Więc tzw. powieść nowoczesna? Zapewne, ale po tych pierwszych stronicach znikają wszelkie obawy i uprzedzenia. Nowoczesność tej prozy nie jest naskórkowa i epatująca formą — jest to po prostu d o b r a proza napisana niekonwencjonalnym rytmem, nerwową frazą (bo mówi o czasach i sprawach niekonwencjonalnych i nerwowych), ale czytelna i czysta, wolna od gierek i chwytów obliczonych na szokowanie czytelników.

Powieść Gisgesa mówi o czasach trudnych, o walce o władzę ludową, o wojnie, o zagubieniu człowieka w kalejdoskopie wydarzeń, o wierności sobie i wierności przekonaniom... „Pamięć serca" jest więc książką o trudnych losach pokolenia, o Polsce. Jest powieścią zaangażowaną, lecz nie schematyczną — stawia problemy, szuka odpowiedzi w sposób ambitny i głęboki — bowiem dotyczy głębokich przemian w kraju i w człowieku.

Najbliższa przeszłość o jakiej pisze Gisges tworzyła się w męce i cierpieniu — sugestywność nerwowej frazy tej książki każe wierzyć w te męki i cierpienia, w ten trud tworzenia Rzeczypospolitej w ubłoconych butach i z nabitym karabinem. Dobra, mądra i czysta jest ta pamięć serca.

J. W.

Jan Maria Gisges „Pamięć serca" LSW, cena 12 zł.

KLUB SAMOBÓJCÓW

Wydarzenia i wiadomości stały się tak niepokojące, a w dodatku rezultaty osiągnięte dotąd w śledztwie były tak nikłe, że utworzono specjalną komisję do zbadania serii tajemniczych samobójstw wydarzających się raz po raz w stolicy Słowenii, w Lublanie. Na czele siedmioosobowej komisji stanął doświadczony funkcjonariusz policji kryminalnej (TNZ) Vlado Furlan. Już po względnie niedługim czasie zdawało się, że komisja dopięła swego celu. Ale niestety, wpadła ona tylko na trop bandy młodocianych zabawiających się na cmentarzach grą czaszkami ludzkimi. „Klub samobójców" istniejący w Lublanie nie został zdekonspirowany.

Poniektórzy działacze i publicyści lansowali wobec tego teorię, że na tę serię samobójstw składają się odizolowane od siebie przypadki, związane wyłącznie jednością czasu. Ale po dokładnej analizie, przeprowadzonej przez komisję śledczą, teoria ta wzięła w łeb. Badane przypadki wykazały bowiem szereg wspólnych cech, świadczących nieodparcie o istnieniu makabrycznej zmowy, o zorganizowanej przez sprzymierzone grono młodych ludzi kolektywnej akcji samounicestwienia.

Zaczęło się, jak przypomniała niedawno belgradzka popołudniówka „Politika-ekspress", cztery lata temu.

Janez Cuk, wzięty amant jugosłowiańskiego filmu, ulubieniec publiczności, młody człowiek o wielkim wdzięku i talencie bywał codziennie w barze hotelu „Turist" w Lublanie. Popijał tam swojego „szprycera". Pewnego uroczego dnia usiadł na ławce pod kasztanami ogrodu hotelowego, by w samotności móc poświęcić się wysoce interesującej lekturze. Cuk przeczytał jednym tchem pracę H. P. Rullmanna p.t. „O samobójstwie w Słowenii". Potem udał się do domu. W kieszeni posiadał bilet na lot, który miał odbyć następnego dnia. Ale w mieszkaniu nie przygotowywał się do podróży. Wymalował na wielkim arkuszu papieru napis: „Uwaga! Niebezpieczeństwo śmierci!", umieścił plakat na kuchennych drzwiach, zamknął je za sobą i odkręcił kurki kuchni gazowej...

Samobójstwo ulubieńca publiczności wstrząsnęło nią — tym bardziej, że czyn ten wydawał się zupełnie niezrozumiały. Cuk osiągnął przecież wszystko, czego mógł pragnąć od życia: sukces artystyczny, dobrobyt, widoki na piękną przyszłość, powodzenie w życiu intymnym. A jednak...

Przypominając o samobójczej śmierci młodego aktora, „Politika-ekspress" przytacza szereg innych przypadków rezygnacji z życia, które wydarzyły się w Lublanie. Wspólną psychologiczną cechą sprawców jest jakoby egzystencjalistyczna rozpacz, beznadziejność, rozczarowanie życiem — co szczególnie dotkliwie odczuwają ludzie młodzi.

Mniej więcej jednocześnie z Cukiem zrezygnowało z życia, popełniając samobójstwo, jeszcze kilka innych młodych osób: w słoweńskim Jesenice syn Vladimira Dedijera, biografa marszałka Tito, Branko Dedijer. Był on jeszcze studentem biologii, ale już autorem kilku prac naukowych, opublikowanych w angielskich i francuskich pismach fachowych. Rokowano mu wielką przyszłość naukową. Branko zostawił testament, stanowiący coś w rodzaju manifestu rozpaczy. Uważał on, że jest pierwszym w Słowenii „kamikazem", twórcą rodzimego „banzaizmu" — wywodząc pojęcie i słowo z okrzyku „banza!" japońskich „żywych torped" lotniczych z czasu drugiej wojny światowej. — Do nazwiska Dedijer powrócimy jeszcze w chronologii wypadków.

Mówiliśmy o wspólnych cechach psychologicznych lublańskich samobójców. Nietrudno dopatrzyć się ich u wszystkich innych desperatów, z wyjątkiem może tych, którzy popełniają samobójstwo z powodu nieuleczalnej choroby lub w obłędzie. Ale lublańska seria samounicestwień jest, począwszy od Branko Dedijer. Był on jeszcze stutywnej sugestii, nawet udokumentowanej.

Syn słoweńskiego historyka Kermavnera, dziewiętnastoletni student filozofii Ales, otruł się gazem. Ales był poetą, przed samobójstwem stał się satyrykiem. Zadedykował on swoim kolegom ksią-

RYSZARD BINKOWSKI

PRZYPOWIEŚĆ O wiejskim klubie

Dowcipny działacz kulturalny mówi dziś, że był to „klubowy Hongkong". Potem ostropiórzy publicyści robili sobie podśmiewajki. Że to niby polski chłop coraz gęściej słabuje na serce. Od tych hektolitrów wypitej kawy. Ale ilością wypitej kawy nie mierzy się poziomu kulturalnego wsi. Kulturę można ocenić lepiej wagą mydła zużytego przez statystycznego mieszkańca wsi. Przeto w kioskach klubowych znalazło się mydło, Ty, le, że przy zakładaniu klubów nie stawiano li tylko na mydło i kawę. Kluby miały się stać ambasadorami kultury pod strzechą. Czy dostatecznie spełniły tę piękną rolę?

Prawie w każdej dużej wsi istnieje klub „Ruchu" czy GS-u W małych wioskach i przysiółkach jest ich o wiele mniej. Te jednak kluby są o wiele lepiej prowadzone. Paradoks? Nie. Po prostu w bardziej oddalonych od miasta wioskach ludzie potrafią uszanować ofiarowane im dobro kulturalne. Są go bardzo spragnieni.

Częstokroć mała chałupina stojąca w szczerym polu lepiej spełnia swą rolę, niźli bogato wyposażona sala w dużej podmiejskiej wsi. W takiej zapadłej wioszczynie na 30 m² mieści się dobrze zaopatrzony kiosk, punkt biblioteczny i salka klubowa. Ponadto radio tranzystorowe, naftowe lampy. Żadnych luksusów. W takiej wsi nie ma poza klubem sklepu ani kiosków. Nie ma innego lokalu, gdzie zbierałaby się młodzież, dorośli i dzieci. Tu, mimo braku wielu urządzeń, ludzie potrafią się kształcić. Bawią się i czytają. Wystawiają ciekawe programy estradowe i teatralne. Na lekcjach tańca towarzyskiego doszlusowują do tych modnych wygibasów miastowych. Więc cieszmy się! Bo młodzi omijają gospodę. Biorą udział w turniejach wsi. Latem organizują „zielone kluby". Poprzez wystawy i inne formy propagandy wizualnej popularyzują książki rolnicze i beletrystyczne. Wciągają dziatwę do kółek zainteresowań. Zimą przepędzają odwieczną nudę ze wsi. Zgaduj-zgadule, bale gałganiarzy, kuligi, konkursy „grzeczności na co dzień".

I już jesteśmy zachwyceni. A może w tej powszechnej chwalbie kryje się zwykłe polskie „przegięcie pały"? Bo ileż jest tych bardzo dobrych klubów? Czterdzieści, pięćdziesiąt procent. To jest nieścisła statystyka. Wystarczy jednak przewertować codzienną prasę jak „Zarzewie", „Zielony Sztandar" czy „Nowa Wieś". W tych gazetach roi się od listów. Czytelnicy skarżą się na złą czy wręcz żadną działalność w klubie. Przeto kolejne trzydzieści procent klubów to placówki, gdzie bazuje się na telewizorze. Ale telewizor często gęsto stoi popsuty. Wtedy klub jest zamknięty.

Inne z tych klubów szczycą się osiągnięciami czysto pozornymi, na pokaz. Osiąga ją te wyniki z pobudek utylitarnych. Gospodarz klubu, dla przykładu, siłą wciska do rąk bywalców książki. Kupują, bo za zdobycie pierwszego miejsca w sprzedaży książek klub otrzyma adapter Kupują Sartre'a, Camusa i Parnickiego. Nie czytali je szcze polskich klasyków. Kto teraz zaręczy, że kupione książki nie zawisną na gwoździu w przybytku koło stodoły?

Pozostałe kluby, te dwadzieścia procent, to placówki prowadzone źle, będące w stadium likwidacji, czy też już zlikwidowane. One rodzą się z bardzo konsumpcyjnych pragnień młodzieży. Młodzież się nudzi. Pisze do powiatu, do województwa, do redakcji. Dajcie nam klub! Daje dobrotliwy wujaszek „Ruch" Może nie tylko z dobroci, bo i o jakimś proficie pomyśli. I jeśli „Ruch" trafia na prężnie działające koło ZMW i dobrego gospodarza, to jest dobrze. W innym, i częstym przypadku „ambasada kultury" przeobraża się w kowbojski saloon czyli polską spelunę. Pod stolikami stoją półbasówki „deptanej" i butle sikacza. Te nektary leje się w filiżanki po kawie. Przy zachłyśnięciu fusy stają w nosie. Po nektarowej rozgrzewce pęka bilard, trzaskają krzesła, Te wyplecione nylonową siatką zostają w strzępach. Przepalone papierosami. Przecież trzeba coś robić, w coś się bawić! Można się jeszcze bawić w durnia, chlusta i w oko! I w całonocny, nielegalny potańc, który kończy się na odłamkach szkła w czaszce i syrenie pogotowia.

Co robi gospodarz klubu? Nic nie robi. Gospodarzem jest najczęściej dziewczyna. Z tej wsi, spośród tej młodzieży. Nie wolno się jej wychylać. Musi działać pod naciskiem środowiska. Musi nawet godzić uświęconą tradycję z nowoczesnością. Przeto na ścianie wiszą relikwie, a w gablocie ukryte nieśmiało środki antykoncepcyjne.

Taki klub, zanim ulegnie likwidacji z powodu manka i zdewastowanego sprzętu, jest pięknie obsiusiany i obsadzony grzybkami. Bo „Ruch" i GS założyły klub, ale na zbudowanie zwykłej polskiej „sławojki" już nie miały funduszów. Albo i pomysłu. A klub bez WC nie jest żadną ambasadą kultury.

Są to przykłady bardzo drastyczne. Jasne, że nie obrazują całokształtu pracy klubowej, jak i nie obrazuje tej pracy działalność tych najlepszych klubów. W gruncie rzeczy klub na wsi jest zjawiskiem pozytywnym. Ale jest wiele źródeł zła, które powodują, że kluby niedostatecznie spełniają swoją rolę.

Starsze pokolenie zawsze staje bykiem do nowoczesności. Leciwi mieszkańcy wsi od zarania widzieli w klubie gniazdo rozpusty i rozwydrzenia. Niekiedy nie bez słuszności, skoro stykali się z tym nocnym wyciem, łamaniem płotów i kradzieżą kur. Tylko, że nie zastanawiali się, że w klubie rozrabiają ich własne dzieci. Chłopi nie pomogli klubowi, a przecież było i jest to ich zadaniem wychowawczym.

Nie zawsze panuje zgoda między młodzieżą a OSP. Bywa, że strażacy w dniu zabaw eksmitują klub z remizy. Brak jest również ściślejszej współpracy GRN z radami klubowymi. Radykalnej poprawie musi ulec praca aktywu GS z młodzieżą. Przecież organizowanie klubów i przy nich zespołów młodego rolnika daje szanse jakimś nowym formom pracy. Poprzez te formy można bezpośrednio popularyzować piękną ideę ruchu spółdzielczego wśród młodzieży.

Rada klubu winna być motorem jego działania, pomocą dla gospodarza klubu. Jednakże jej członkowie nie zawsze przygotowani są do pełnienia takiej roli Do rady klubu należą jeszcze ludzie nie przygotowani do roboty w kulturze. Szkolenia aktywistów klubowych nie zdawały egzaminów. Często kurs nie odbył się z braku uczestników. Przeto odwala się tę robotę w radzie klubu. Traktuje się ją jako funkcję społeczną, którą można się formalnie wykazać.

W takiej sytuacji najlepiej widzianym gospodarzem klubu byłby wiejski nauczyciel. Ale ten nauczyciel ma masę innych funkcji społecznych. Ma też nauczycielską pensję. A w klubie obowiązuje symboliczny ryczałt czy 10 proc. od ciastek i kawy. Ponadto nauczyciel nie chce się narażać zwierzchnim władzom oświatowym.

Sytuacja zmienia się na lepsze. „Ruch" doszedł wreszcie do porozumienia z ZG ZNP. „Ruch" zobowiązał się pokrywać koszty kursów wakacyjnych dla nauczycieli-aktywistów klubowych. W zimie ubiegłego roku odbyły się pierwsze szkolenia. Następne odbywały się w miesiącach letnich. Pięćdziesięciu nauczycieli z województwa łódzkiego przyjechało do Gdyni. Oni nauczyli się organizować i prowadzić imprezy kulturalne. Pieniądz zainwestowany w nauczyciela nigdy nie przepadnie. Nauczyciel zdobyte wiadomości może wykorzystać w klubie i w szkole. Wierzymy, że nauczyciele postawią klub na nogi. Rozkręcą ruch artystyczny, rozruszają młodzież. Roztańczą ją i rozśpiewają.

Będą powstawać nowe kluby. Tak na przykład w Kieleckiem do końca tego roku uruchomi się 30 nowych klubów rolnika. Będzie ich w sumie 250. 80 proc. wyposażonych w radia i telewizory. Koszt utrzymania klubów i opłacenie gospodarza biorą na siebie GS.

To napawa optymizmem. Tylko czy nie jest to optymizm na wyrost? Postawmy sobie pytanie: Nie za szczodrze obdarowujemy młodzież tymi klubami? Nie byłoby lepiej, gdyby młodzi własnymi rękami zapracowali na taki klub. Niech go sami budują. Niech własnym wysiłkiem i pomysłem wygospodarują pieniądz na przynajmniej połowę klubowego sprzętu. Może w ten sposób unikniemy wandalizmu i dewastacji. Na pewno młodzież będzie szanować ten „własny" klub. Bo wychowanie przez pracę to dobra rzecz. Wtedy zniknie problem: czy wychowuje klub, czy też należy wychować do klubu.

Płonica

FRANCUSKA TELEWIZJA O POLSCE

26 marca francuska telewizja kolorowa nadała godzinny reportaż Jean Marie Drota na temat dawnej Polski historycznej, jej pamiątek, muzeów i skarbów. Audycja ta ilustrowana była licznymi filmami.

WITKIEWICZ PO FRANCUSKU

Dwa pięknie się prezentujące tomiki, z dwukolorową okładką, na doskonałym papierze, zainaugurowały edycję sztuk scenicznych S. I. Witkiewicza w języku francuskim, w wydawnictwie Gallimard. Są to „Matka", oraz „Metafizyka dwugłowego cielęcia". Oba utwory zostały udostępnione francuskiemu czytelnikowi w doskonałym tłumaczeniu Jadwigi Kukułczanki i Francois Marie. Znajdujemy tu również streszczenie utworów, ich interpretacje, oraz wiadomości biograficzne o polskim pisarzu. Wydawnictwo „Gallimard" przygotowuje także i inne sztuki Witkiewicza w tłumaczeniu Jadwigi Kukułczanki.

O PIECHALU W ZSRR

Dotarła do nas gazeta „Zabajkalskij Raboczyj" z dnia 24 lutego br. Znajdujemy w niej artykuł A. Alioszkina pt. „Droga z Łodzi do Czyty" poświęcony niedawnej podróży Mariana Piechala po ziemi syberyjskiej oraz jego twórczości. Autor artykułu przedstawia sylwetkę poety oraz omawia poszczególne tomy jego wierszy. Z artykułu dowiadujemy, się, że Marian Piechal przygotowuje obecnie antologię pt. „Poezja Syberii".

Obok artykułu pomieszczono fotografię poety oraz trzy jego wiersze w doskonałym przekładzie Wasyla Kocznowa.

O WYSPIAŃSKIM W PARYŻU

Z okazji Międzynarodowego Święta Teatru nadało radio paryskie dłuższą audycję poświęconą Stanisławowi Wyspiańskiemu. Złożyły się na nią fragmenty „Nocy listopadowej" (dialog Kory z Demeter), w przekładzie Paul Cazina, w wykonaniu artystek Komedii Francuskiej, fragment „Akropolis" w reżyserii Jerzego Grotowskiego oraz rozmowa o Wyspiańskim przeprowadzona telefonicznie przez reżysera audycji Bronisława Horowicza z Wojciechem Natansonem.

Płonica

żeczkę ozdobioną na stronie tytułowej sznurem wisielca. Nie zapisane karty tej książeczki z dziurą pośrodku miały wyrażać próżnię życia, którą młodzieniec odczuwał. Jak Dedijer głosił on, chociaż w innej formie, te same hasła, szydząc z życia w stylu reklamowym: „Jesteś nieszczęśliwy? Czujesz się znudzony? Cierpisz? Nie masz powodzenia w życiu? Posłuż się jedynym niezawodnym środkiem — samobójstwem! Społeczne uznanie zdobędziesz tylko i wyłącznie przez samobójstwo! Przez samobójstwo do nowych sukcesów!"

Chcąc uczcić pamięć młodego poety, komisja kulturalna Jugosłowiańskiego Związku Studentów przy uniwersytecie w Lublanie wydała książeczkę Kermavnera. Stanowi ona dziś unikat, nie ma jej w sprzedaży i nie jest w żaden inny sposób do zdobycia.

Ale policja znalazła kilka egzemplarzy, i to zawsze przy takiej samej smutnej okazji — jak koło trupa studenta Barle. Zaprosił on dwie koleżanki do siebie na wino. Nagle poderwał się z krzesła, wyciągnął pistolet, zawołał: „Chcę, żebyście były świadkami!" i zastrzelił się.

Znaleziono tomik Kermavnera u dziewczyny należącej do tego samego co Barle kręgu przyjaciół. Również ona popełniła samobójstwo na oczach świadków, uczestników zabawy.

Pod wpływem „kermavnerizmu" powiesił się dwudziestoletni Javorsek-Svit, popełnił samobójstwo i drugi syn Dedijera, Vladimir. Trzeciego z Dedijerów uratowano w ostatniej chwili. Wezwanie Kermavnera do samobójstwa znaleziono również obok trupa młodego malarza Battista. Ułożył on się zimą do śmiertelnego snu w pobliżu swojego domku kampingowego.

Po tej serii samobójstw władze oraz opinia publiczna nie wątpią, że chodzi tu o tragiczne skutki zespołowej sugestii, podtrzymywanej przez tajemniczy „klub samobójców", o kolektywnie kultywowaną tęsknotę do śmierci. Policji udało się ostatnio znaleźć u jednego z gimnazjalistów zaproszenie na posiedzenie „klubu samobójców", ale gimnazjalista milczy — powoduje nim przekonanie, a może i strach.

Dziennikarze, usiłujący zdekonspirować desperackie zrzeszenie, otrzymują anonimowe listy z pogróżkami. Zastrasza się ich przez telefon, przy czym wszyscy rozmówcy używają tych samych słów: „Tu klub samobójców. Dla nas życie nie ma wartości. Jeśli dla pana je ma, to zaprzestań pan mieszać się w sprawy tych, dla których śmierć jest świętością!"

Komisja śledcza uważa, że zarówno listy jak i groźby telefoniczne pochodzą rzeczywiście z „klubu samobójców", a nie są mistyfikacjami. Klub daje przecież nie tylko takie dowody swego istnienia, lecz dostarcza je w formie desperackich samobójstw...

Nie ulega wątpliwości, że hasła, jakie szerzy „klub samobójców" padają tylko wówczas na podatny grunt, gdy zaagitowany wykazuje odpowiednie predyspozycje psychiczne. A że w Słowenii jest więcej takich jednostek niż gdzie indziej, a w jej stolicy najwięcej, to już smutna statystyczna prawda: W 1968 roku popełniono w Lublanie (207.000 mieszkańców) 117 samobójstw, a 42 razy usiłowano je popełnić. Odsetek samobójstw (56,5 na 100.000 mieszkańców) jest w Lublanie większy niż w „mieście samobójców" — Berlinie zachodnim, a pod względem samounicestwień młodocianych Słowenia zajmuje pierwsze miejsce na świecie.

Jak wytłumaczy te fakty sympozjum lekarzy, które zebrało się przed kilkoma dniami w Mariborze, by obradować na temat „narodowej patologii"

Wiele jest w tej dziedzinie teorii. Psychoanaliza mówi nawet o „popędzie do śmierci", który np. — według jednego z uczniów Freuda — jest u wielu mężczyzn uprawiających wspinaczkę wysokogórską jakoby motywem ich namiętności, bo podświadomie szukają w górach śmierci. Eliminując przypadki samounicestwienia z powodu nieuleczalnej choroby lub w obłędzie, przyjmujemy raczej, że nieprawidłowe, wypaczone stosunki międzyludzkie, wywołujące frustrację i potęgujące ją do stanu rozpaczy, są właściwym gruntem, na którym powstać mógł klub samobójców.

Ten stan psychiczny młodych desperatów charakteryzuje list napisany przez dziewiętnastoletnią Alenkę Smasek. Nim powiesiła się, położyła pod obrazem Chrystusa wiersze Kermavnera i nakreśliła te oto słowa: „Coraz zimniej wokół mnie, czuję się niezmiernie źle, wszystko zamienia się w odrażającą maź nienawiści..."

(L B)

Z woleja

Wszystko przez tę piłkę

Dziwnie to się jakoś u nas przyjęło, że o poziomie sportu w danym województwie czy mieście świadczy aktualna lokata w lidze lub innej klasie rozgrywkowej zespołu piłki nożnej. Szermierze mogą zwyciężać w turniejach międzynarodowych, tenisiści stołowi zdobywać mistrzostwo Polski, ale wygrana zespołu piłkarzy dajmy na to w klasie C będzie zawsze najbliższa sercu działacza. Bakcyl piłki nożnej w swoim triumfalnym pochodzie pożera inne dyscypliny sportu. Piłka to narkotyk, a działacze pracujący w klubach to w większości „narkomani" — zdają sobie sprawę, że rujnują organizm, ale nie mają siły temu zapobiec. Cóż, tak to się przyjęło, podobni działacze, chociaż ich liczba jest o wiele mniejsza, pracują także w innych dyscyplinach sportu, i, niestety, z tak wąsko pojętą miłością do tego czy innego sportu, nie można walczyć.

Wielokrotnie w czasie podróży służbowych do innych miast koledzy dziennikarze czy działacze sportowi zadają mi pytanie: „Co u was z tym ŁKSem", i zaraz następują narzekania na rzekomo słaby poziom sportu łódzkiego w ogóle. Nie jest tak źle panowie, z tym łódzkim sportem, chociaż i nie jest dobrze.

Oczywiście przede wszystkim nie jest dobrze z piłką nożną w Łodzi, ale także nie jest dobrze z piłką nożną w Polsce. Przecież ciągle zadajemy sobie pytanie, czy jeden Górnik Zabrze, — jedyna zresztą drużyna, której nie można się powstydzić na boiskach całego świata, wystarczy by reprezentacja kraju (poza piłkarzami Górnika zagra tam oczywiście kilku zawodników z innych klubów) pokonała w eliminacjach do mistrzostw świata Holandię, Bułgarię, a może nawet i Luksemburg, z którym przecież nie tak dawno mieliśmy kłopoty? Nie dam za to przysłowiowego złamanego szeląga.

Polskie piłkarstwo, a w tym i łódzkie, drąży bardzo przykra choroba — stwarza się zawodnikom dobre warunki, a mało się od nich wymaga. Piłkarze są szalenie rozpieszczeni przede wszystkim przez działaczy, trochę przez prasę i może w mniejszej już części przez kibiców. Dochodzi potem do absurdu. Za człowiekiem, którego jedyna wartość polega na umiejętności kopania piłki, uganiają się po całym kraju ludzie, których pozycja w społeczeństwie absolutnie do tego nie predysponuje.

Dzieje się tak w całej Polsce, dzieje się i w Łodzi. Dobry piłkarz wie, że jak mu się tu nie stworzy przychylnych warunków, gdzie indziej stworzy mu się przychylniejsze. W ten to prosty sposób działacze ukręcili bicz na własną skórę i po prostu uzależnili się od piłkarzy. Dlatego też nie są oni w stanie rozliczyć piłkarzy z ich pracy.

Są oczywiście zawodnicy obowiązkowi, przywiązani do barw klubowych, grający ofiarnie i ambitnie, są i inni — wędrujący z klubu do klubu, stawiający różne warunki. Tych pierwszych jest chyba więcej, tych drugich jest jednak za dużo. Zresztą piłkarze-wędrownicy mają doskonały wzorzec w postępowaniu swoich trenerów, którzy po zakończeniu rozgrywek kontynuują wędrówkę po całej Polsce w poszukiwaniu intratniejszej posady. I właśnie brak stabilizacji w sekcjach piłki nożnej to jedna z podstawowych przyczyn słabości polskiego piłkarstwa.

Dyskusja o sporcie łódzkim zatacza coraz szersze kręgi. Wiodące — nie wiodące, drugi rzut... przeplatają się terminy, nie zgadzają kluby, obrażają działacze. Podejrzewam, że uzgodnienie stanowisk na temat sekcji klubów wiodących między władzami sportowymi, związkowymi, pionów, federacji, klubów oraz wszystkich innych instytucji, które faktycznie lub tylko z zamiłowania roszczą sobie prawo do kierowania łódzkim sportem nastąpi niezbyt prędko. Całą nadzieję pokładam w ustaleniach łódzkiej instancji partyjnej, która właśnie w najbliższym czasie ma się zająć tą sprawą. Zanim to jednak nastąpi proponuję poszczególnym klubom wziąć się po prostu do pracy i rozliczyć zawodników z ich wkładu w podniesienie poziomu tej czy innej dyscypliny sportu. Szczególnie przydałoby się to w dyscyplinie stanowiącej sportową wizytówkę miasta.

Ze sportem w Łodzi nie jest źle. Posiadamy kilka dyscyplin, których mogą nam pozazdrościć inne okręgi. Wymienię tutaj choćby siatkówkę, tenis stołowy, koszykówkę żeńską, dźwiga się z kryzysu boks i hokej. Wszystkiemu jednak winna piłka nożna, ona to psuje nam markę w całym kraju i chyba jest w tym dużo przesady.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

Książki nadesłane

Krystyna Jabłońska
„KAZIMIERZ TETMAJER"
Wyd. Lit. K-w zł. 35,—

Guenter Hofé
„CZERWONY ŚNIEG"
Wyd. Poznań zł. 30,—

Bystrzycka Zofia
„GRA BEZ SŁÓW"
PIW W-wa zł. 22,—

Greulich Emil Rudolf
„AMERYKAŃSKA ODYSEJA".
PIW W-wa zł. 28,—

Wsiewołod Garszyn
„CZERWONY KWIAT"
Książka i Wiedza zł. 4,—

Prosper Mérimée
„PODWÓJNA OMYŁKA"
Książka i Wiedza zł. 4,—

M. de La Fayette —
„DZIEJE HENRIETY ANGIELSKIEJ",
Czytelnik, cena zł 16.—

L. M. Bartelski —
„DIALOG Z CIENIEM",
„Czytelnik", cena zł 14.

K. Kupisz —
„PODRĘCZNY SŁOWNIK FRANCUSKO-POLSKI",
WP, cena zł 80.—

TP OBIEKTYW

Po końcu świata

„Po końcu świata
po śmierci
znalazłem się w środku życia
stwarzałem siebie
budowałem życie".

Różewicz. Teatr Różewicza. To słowa hasła, które dźwigają potężny ładunek semantyczny. Kto jest w posiadaniu klucza do rozszyfrowania tych haseł, komu kojarzą się one z własnym życiem, kto potrafi je rozczłonkować na wspomnienia setek wzruszeń i refleksji z lektur poetyckich — czuje się chyba wewnętrznie bogatszym.

Poezja Różewicza jest niesłychanie osobista. Albo ją trzeba czytając czy słuchając przyjąć za własne wyznanie, za cząstkę własnych doznań i doświadczeń, albo pozostaje się na nią nieczułym. Trzeciej ewentualności nie ma.

Różewicz należy do pokolenia, którego młodość przypadła na wojnę. Świat, którego to pokolenie dobrze nie zdążyło poznać przed wojną, walił się w gruzy. Na tych gruzach trzeba było budować nowe życie, walcząc z własną niewiarą w możliwość odbudowy moralnej człowieka po gorzkich doświadczeniach wojennych.

Starsi poeci, jak Gałczyński, potrafili przenieść przez lata wojny niewygaszone wspomnienia przeszłości, spatynowane, upiększone sentymentem. Potrafili pisać po wojnie w sposób miły dla ucha i oka, tak jakby wykreślając lata wojenne z biografii, by nie mąciły dysonansem strof poetyckich.

Różewicz — inaczej. Nie był w stanie niczego zapomnieć. Nie chciał niczego zapomnieć. Cała jego poetycka twórczość przesycona jest dramatycznymi pytaniami: jak żyć? jak budować nowy świat w atmosferze nieufności człowieka do człowieka? skąd czerpać zapas wiary?

Teatr Różewicza, poezja Różewicza — to są pojęcia równoznaczne. Jego twórczość nie dzieli się na poezję, dramat eseistykę. Wszystko jest u niego poezją, wszystko wypływa z zasadniczego nurtu lirycznego. O bardzo niewielu pisarzach powiedzieć można, że tworzą swój teatr. Szacunek dla wielowiekowej instytucji teatru, która nowych form dla siebie szuka przez dziesięciolecia, a czasem i dłużej, powoduje, że bardzo ostrożnie podchodzi się do przyznawania jednostkom rangi samodzielnych kreatorów teatru.

Ale o teatrze Różewicza mówi się i pisze już od lat. I nikt nie kwestionuje prawa poety do takiego właśnie określenia. „Kartoteka", „Nasza mała stabilizacja", „Wyszedł z domu" i cały szereg innych sztuk Różewicza przewinęło się przez dziesiątki teatrów polskich. Sztuki te nie należą do łatwych w odbiorze, ani do łatwych w realizacji dla teatru, dla aktora. Główny ich walor nie leży bowiem w widowiskowości, ale w słowie, w wygłaszanym przez aktora monologu wewnętrznym postaci, a właściwie w monologu wewnętrznym samego poety.

Oglądając 9 bm. w telewizji widowisko poetyckie „W środku życia", nadane z Krakowa w ramach Studia Współczesnego, zaskoczony byłem telewizyjnością poezji Różewicza. Tadeusz Malak, w jednej osobie reżyser i wykonawca tego spektaklu, który w wersji scenicznej przyniósł mu I nagrodę na Festiwalu Teatrów Jednego Aktora we Wrocławiu, udowodnił tę telewizyjność w sposób jednoznaczny.

Tekst słowny widowiska to montaż różnych fragmentów twórczości Różewicza i różnych gatunków literackich. Montaż ten wskazuje przede wszystkim na jednorodność elementów tej pięknej mozaiki. Malak mógł więc pokusić się o adaptatorską próbę syntezy poezji Różewicza. Adaptacja różnych utworów dała aktorowi szansę traktowania dorobku poety jako całość, wydobywania zeń najcenniejszych, rozsianych tu i tam, elementów.

Taka adaptacja odpowiada moim zdaniem szczególnie specyfice telewizyjnej. Telewizja jest formą przekazu lakoniczną, a więc zdążającą z natury rzeczy do skrótu, do syntezy.

No i nigdzie chyba intymność wyznań poety nie zabrzmi tak wiarygodnie, jak z ekranu telewizora. Widowisko telewizyjne nie wymaga wielkich środków inscenizacyjnych. Twarz aktora oglądana z bliska i w dużym zbliżeniu, (to nie to samo!) pozwalającym śledzić najdrobniejszy grymas, najlżejsze drgnienie muskułu twarzy, może stać się jedynym nawet elementem wizualnym widowiska, jeżeli tekst wypowiadany przy tym potrafi przykuć uwagę widza.

Wielki portret aktora na ekranie sprzyja bezpośredniemu przekazywaniu monologu wewnętrznego, najskrytszych myśli i uczuć. Płyną one rwącym prądem, nie rozpraszając się na krótkiej osi telewizor — widz. Docierają z całym dramatycznym ładunkiem.

Wyznania Różewicza, które powinny stać się wyznaniami każdego z nas, bo to jest głos naszego pokolenia, płynęły z małego ekranu z tą właśnie siłą, której dla tego rodzaju tekstu nie zapewniłby ani teatr, ani tym bardziej kino.

Władysław Orłowski

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

„Kobieta i mężczyzna" pierwszy głośny film Claude Leloucha był sukcesem, bestsellerem, który zyskując entuzjazm widzów przeraził pewną część światowej krytyki filmowej. Lelouche na pewno nie pierwszy, ale na pewno w sposób najdoskonalszy wykorzystał cały sztafaż, całą poetykę „nowej fali" do realizacji, o zgrozo, melodramatu. Hołubiona, przez lata ratująca honor sztuki filmowej „nowa fala" została rzucona na żer kina komercjalnego. Nowatorstwo stało się nagle chlebem powszednim, kinem dla szerokiej publiczności i tego chyba Lelouchowi nie chciano wybaczyć.

Antagoniści Leloucha jeszcze głośniej protestowali, gdy ten zaprezentował swój następny film „ŻYĆ ABY ŻYĆ". Na głowę biednego Leloucha spadły, również w polskiej prasie, gromy sążniste. Wytoczono najcięższe działa. I przeciw czemu? Lelouche może mieć nie lada satysfakcję. Melodramatowi nie poświęcono jeszcze nigdy tylu stron pisanych często krwawym atramentem.

Bronić Leloucha, to bronić formuły melodramatu, nie sądzę wszakże, by w każdym wypadku była to rzecz bardzo hańbiąca. Bronić Leloucha to zaakceptować „nowe kino" na usługach kina powszechnego, nie sądzę, by nie trzeba było tego zrobić skoro staje się to faktem dnia i wychodzi kinu na dobre. Bronić Leloucha to nie znaczy jednak zaaprobować jego „Żyć aby żyć" z całym dobrodziejstwem inwentarza. Bronić Leloucha to znaczy stanąć trochę obok jego filmu, nie demonizować ani autora ani jego dzieła.

Jedna paradoksalna myśl wysuwa się na plan pierwszy — mistrzostwo realizacji skierowało się przeciw autorowi. Nieomylny zmysł kina, umiejętność myślenia i wypowiadania się obrazami, fantazja, pomysłowość, bezbłędne opanowanie nowoczesnej sztuki reżyserskiej i operatorskiej, wszystko to wywołuje żądanie Sztuki Wielkiej, a Lelouche jej nie chce, a może nie umie realizować. W pracy Leloucha jest jednak coś ze sztuki diabelskiej. Ona to prowokuje jego przeciwników, którzy zarzucają mu z jednej strony handel sztafażem dobrej sztuki, z drugiej kupczenie wielkimi tematami. Ona jednak również prowokuje do obrony.

Najcięższym i w pierwszej chwili do przyjęcia zarzutem stawianym reżyserowi jest fakt postawienia na jednej płaszczyźnie największych konfliktów współczesności (Wietnam, Kongo) i historii małżeńskiej zdrady. Gdy jednakże staniemy z boku, nie poddamy się presji melodramatycznych przeżyć bohaterów, uda się nam zobaczyć film Leloucha w innym świetle. Nie umiem czytać tego filmu inaczej jak absolutnej kompromitacji głównego bohatera. Kompromitacji tej dokonuje Lelouche zarówno w sferze uczuć osobistych swego bohatera jak i jego postawy traktowanej w kategoriach etyki zawodowej, a także postawy ideowej. Ani na moment nie wierzę w autentyzm przeżyć i postaw ideowych bohatera, który swe kongijskie i wietnamskie reportaże sprzedaje jak towar. Kupczy wykonywanym zawodem, kupczy tematem, jest w swej kupieckiej moralności odrażający. Żyje, aby żyć. W ironicznym tytule filmu znajdujemy klucz do niego. Nie wiem czy melodramatyczny charakter filmu nie służy wyłącznie pogłębieniu tej ironii. Wielkie problemy współczesnego świata wchodzą w życie bohaterów poprzez ekran telewizora, poprzez sensacyjne nagłówki gazet. Wchodzą lecz są niezauważane, ludzie żyją zaprzątnięci prywatnymi sprawami, osobistymi tragediami, nieczuli, nie reagujący. Ich sprawy są dla nas melodramatami, dla nich są życiem samym. Zatracają się w nim do końca. Żyją by żyć, ale tylko w wymiarze życia własnego, życia wygodnego. Gdy tak widzę film Leloucha, gdy widzę cudzysłów, w który wzięto ów melodramat przestrzegam sama siebie przed diabelskimi sztuczkami. Lelouche na nas i na siebie przy wybitnej pomocy znakomitych aktorów (Annie Girardot i Ives Montand) sidła te zastawił i łatwo w nie wpaść. Melodramat to jednak piekielnie niebezpieczna zabawa.

„ELZA Z AFRYKAŃSKIEGO BUSZU", film w reżyserii J. Hilla oparty został na bestsellerowej przed kilku laty książce Joy Adamson „Moja lwia rodzina". Film odtwarza nieprawdopodobną a autentyczną historię przyjaźni lwiej rodziny z państwem Adamson. Choć zawsze głosować będą za formułą bliską filmowi „Zwierzęta" Rossifa, przyznać muszę, że dla odtworzenia fascynującej historii znaleziono w filmie środki znakomite. Godząc się na film przygodowy, muszę zaakceptować liczne oszustwa kina, bo przecież zachwycałam się też filmami Disneya. Rezultaty tego oszustwa godne są jednak aprobaty. Bohaterkę filmu — lwicę Elzę grało aż 19 lwów, lecz konia z rzędem temu, kto to zauważy. Nie czuje się w tym filmie wielu tricków, oszustwa są znakomite i wpływają przez to na nienaganną jedność wydarzeń i pełną wierność szczegółów owej niezwykłej przyjaźni między ludźmi i lwami. Najbardziej godne uwagi i naprawdę przejmujące są te sceny filmu, które ukazują proces powrotu oswojonej i przez to unieszczęśliwionej Elzy do świata dzikiej przyrody i jej praw. Ten niezwykły, wolny i bolesny powrót ukazano z wiarygodnością, która łagodzi pewne mielizny filmu. „Elza z afrykańskiego buszu" to jak się rzekło nie film przyrodniczy lecz przygodowy dlatego nie będziemy wybrzydzać na zbytnią ckliwość opowieści. Rekompensuje ją Elza, świat jej dzikich przyjaciół i piękno afrykańskiego buszu.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

NIESŁYSZALNE DŹWIĘKI

● „Posłuchaj! Wszystko milknie. Myśl o swej ukochanej" — pisał Alfred de Musset w „Nocy majowej".

Gdyby człowiek mógł słyszeć ultradźwięki, Musset nigdy nie mógłby napisać tych słów.

Jak informuje „Journal de Genève" badania zoologów stwierdziły, że właściwie w nocy panuje niewiarygodny hałas choć niesłyszalny dla człowieka. Oto nietoperze polujące na ćmy wydają swoiste sygnały ponaddźwiękowe, pozwalające im, jak radar, orientować się w ciemności, a niektóre gatunki ciem, w obronie przed drapieżnikiem, potrafią wydawanymi przez siebie ultradźwiękami wywoływać zaburzenia w emisjach „radarowych" swych wrogów.

MIRIAM MAKEBA W PARYSKIEJ „OLIMPII"

● Miriam Makeba, po dwóch latach nieobecności w Paryżu znów występuje na estradzie „Olimpii". Jest ona bez wątpienia największą śpiewaczką afrykańską — jak to podkreśla recenzent tygodnika „l'Humanité Dimanche". Nazywają ją „Głosem Afryki" nie tylko dlatego, że jest czarną i śpiewa murzyńskie pieśni, ale również dlatego, że od dzieciństwa walczy przeciwko segregacji rasowej.

Miriam Makeba urodziła się w Południowej Afryce, w Johannesburgu, a młodość spędziła na prowincji w Transwalu. Do kraju w którym się urodziła wrócić nie może, gdyż czeka ją tam więzienie.

W swym repertuarze Miriam śpiewa pieśni różnych szczepów w dialektach kwela, zulu, shangaan. Obecnie poszerzyła znacznie swój repertuar, śpiewając pieśni nie tylko afrykańskie. Wykonuje pieśni indiańskie, kubańskie, hiszpańskie i indonezyjskie. Jej śpiew, prócz wspaniałego głosu, charakteryzują naturalność i prostota. Miriam Makeba nie uczyła się śpiewu, ale ogromny talent muzyczny pozwolił jej na tak wspaniałe rozwinięcie głosu.

Miriam Makeba

NOWA KSIĄŻKA MAURIACA

● Francois Mauriac (ur. 1885), laureat literackiej nagrody Nobla w roku 1952, po blisko dwudziestu latach milczenia, wydał obecnie licząc sobie osiemdziesiąt trzy lata, nową powieść pod tytułem „Un adolescent d'autrefois" (Młodzieniec z innych czasów).

Pomysł, jak twierdzi, przyszedł mu w dniach kiedy obchodzono uroczyście 80-lecie jego urodzin. „Skoro nie mam jeszcze umierać — powiedział sobie Mauriac — to dlaczegóż by nie napisać powieści?" Treścią książki są wspomnienia autora z czasów młodości. „Moi bohaterowie — mówi autor — analizują siebie tak jak zawsze to czynili, ale tym razem oni się mylą".

Francois Mauriac

Powieść napisana jest w formie listów młodego człowieka przebywającego na prowincji do swego przyjaciela w Paryżu.

Krytyka podkreśla, że najnowszą powieść Mauriaca cechuje jego dawna sprawność i mistrzostwo pisarskie.

SZTUKA INDIAŃSKA I ESKIMOSKA

● Staraniem Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Człowieka została otwarta w Paryżu wystawa sztuki kanadyjskich Indian i Eskimosów.

Najciekawszym działem jest ekspozycja dzieł Indian z Kolumbii brytyjskiej, prowincji w zachodniej Kanadzie. Obszar ten, dzięki swemu oddzieleniu od reszty kontynentu pasmem potężnych gór, był zawsze trudno dostępny, toteż Indianie zamieszkali tam, mogli wytworzyć swą odrębną i oryginalną cywilizację. Przez Europejczyków kraj ten został odkryty dopiero w końcu osiemnastego wieku.

Sztuka Indian tego obszaru rozwijała się pod wpływem wierzeń lub utrwalania czy też podkreślania hierarchii społecznych. Wytwory tej sztuki służyły jako remedium na choroby, środek odpędzania śmierci, sposób wzywania na pomoc sił nadprzyrodzonych. Inne przedmioty służyły upamiętnieniu wysokiej rangi społecznej rodów lub wodzów plemiennych, ich bogactwa i prestiżu osobistego. Stąd to liczne słupy z wyobrażeniem totemów, maski z elementami ludzi i zwierząt jako symboli szczepowych itp. Na wystawie jednym z najciekawszych eksponatów jest barwna, pracowicie inkrustowana maska ni to drapieżnego ptaka ni to człowieka-wojownika. Artyści tych obszarów używali jako tworzywa przeważnie drewna i dlatego wiele dzieł nie dotrwało do naszych czasów. Pod wpływem przybyszów z Europy twórcy indiańscy poznają i stosują inne tworzywa, zachowując jednak nadal całą oryginalność i wszystkie cechy dawnej rzeźby z drewna.

Inni Indianie kanadyjscy uprawiali malarstwo na skórach zwierzęcych. Najczęstszym motywem był wizerunek bizona. W swoim czasie malarstwo to zachwyciło Ludwika XVI, toteż sporą liczba przedmiotów tego typu znajduje się do dziś u kolekcjonerów francuskich.

Sztuka eskimoska reprezentowana na wystawie paryskiej różni się od tej, które zwykliśmy uważać za oryginalny wytwór Eskimosów. W swoim czasie bowiem masowo produkowano na użytek turystów eksponaty mające niewiele wspólnego z właściwą twórczością ludową. Wystawa pokazuje drobne przedmioty jak kościane haczyki do połowu ryb, rzeźbione noże, ornamentykę na różnych przedmiotach powszechnego użytku. Wszystko to wykonane jest z niesłychaną pracowitością i precyzją w ciągu długich nocy polarnych.

RYSUNKI LEONARDA

● Czterysta pięćdziesiąt lat temu zmarł Leonardo da Vinci (1452—1519) wszechstronny artysta i uczony, genialny przedstawiciel epoki odrodzenia, wielki malarz, rzeźbiarz, wynalazca, teoretyk sztuki.

Z okazji 450-lecia śmierci Leonarda telewizja francuska poświęciła specjalną audycję omówieniu rysunków i szkiców wielkiego artysty.

Leonardo da Vinci pozostawił stosunkowo niewielką ilość obrazów, natomiast wielką ilość notatek, szkiców, prac przygotowawczych do swoich płócien. Do namalowania każdego ze swych dzieł przygotowywał się niesłychanie długo i starannie. Obmyślał każdy szczegół, sporządzał notatki, robił studia i szkice. Toteż zostało po nim wiele kart, nieopatrzonych nigdy datą, nigdy też nie podpisywanych, służyły bowiem Leonardowi jako pomoc do mającego powstać dzieła. Obok rysunków znajdują się często notatki sporządzone odwróconym pismem, dającym się odczytać w lusterku, bowiem Leonardo był mańkutem i pisywał lewą ręką, od strony prawej ku lewej. Te tysiące kart woził zawsze z sobą i nigdy się z nimi nie rozstawał.

Większa część rysunków i manuskryptów Leonarda tzw. Codex Atlanticus ofiarowana została w roku 1637 bibliotece w Mediolanie. Drugi zbiór zawędrował do Hiszpanii, i tam odkupił go lord Arundel. Pamiątki te przeszły następnie do królewskiej kolekcji w Windsorze, gdzie znajdują się od roku 1680.

W roku 1503 Signoria florencka zamówiła u Leonarda fresk do sali Rady. Artysta namalował „Bitwę nad Anghiarą". Niestety, farby których użył Leonardo, eksperymentując ich skład chemiczny, okazały się bardzo nietrwałe. Obraz nie przeżył nawet XVI wieku. Tym cenniejsze są dla nas szkice i studia jakie Leonardo da Vinci sporządzał do tego obrazu.

Leonardo da Vinci: Ze studiów nad freskiem „Bitwa nad Anghiarą".

ZA TYDZIEŃ W „ODGŁOSACH"

— w związku z IV Ogólnopolskim Festiwalem Poezji w Łodzi, wypowiedzi Stanisława Czernika, Andrzeja Lama, Ryszarda Matuszewskiego, Mariana Piechala, Artura Sandauera i Kazimierza Wyki.
— OKO W OKO Z PIOTRKOWEM
— KOZINY — PORTRET PRZEDMIEŚCIA
— NOWELA KRYMINALNA

Od niedzieli do niedzieli

ŁYK INFORMACJI KULTURALNEJ

COŚ SIĘ DZIEJE — OSIEM STRON ŁIK-u — „SZEPTANKA" W 500 EGZEMPLARZACH — NIEWYPAŁ NA SATYNIE — ZA DUŻO SZCZĘŚCIA?

Stanowczo Łódź nie jest miastem z piosenki o strażakach, którzy śpiewają: „pożar, pożar — coś nareszcie dzieje się!" W Łodzi dzieje się niezwykle dużo bez pożaru, żeby się o tym przekonać, trzeba jednak czytać w gazetach nie tylko „Kronikę wypadków". Aż przykro przypominać rzeczy oczywiste, ale mamy parę teatrów, parę muzeów, sal wystawowych, bibliotek, klubów i domów kultury... I co byśmy nie mówili krytycznego o działalności tych placówek, to przecież coś tam się dzieje.

A zatem „dzieje się", tylko jak o tym informować ludzi? Wydawać by się mogło, że od czasu wynalezienia pisma sprawa informacji nie powinna być specjalnie trudna... A jednak...

Warszawa od dłuższego czasu ma swój estetycznie i efektownie wydawany Informator Kulturalny — co dwa tygodnie uśmiechający się z kiosków „Ruchu" portretami popularnych aktorów. Znajdziemy tam oprócz repertuaru teatrów, także informacje o wystawach, imprezach artystycznych itp. Przede wszystkim jednak znajdziemy bez trudu sam Informator Kulturalny — za pięć złotych w każdym kiosku. To jest informacja, która ma sens, docierająca do ludzi, informująca pełnym głosem...

Co za sens ma jednak informacja niejako szeptana, na ucho — dla garu wtajemniczonych? A taka jest właśnie informacja kulturalna Wydziału Kultury, który w ciężkich bólach urodził namiastkę stołecznego WIK-u... Urodził i co?

Otóż właśnie! Ograniczono się tylko do spraw teatru, bo stosunkowo najłatwiej podać ich miesięczny repertuar. Ale dlaczego wydano informator kulturalny dla 750-tysięcznego miasta w... pięciuset egzemplarzach — tego pojąć nie potrafię. O regularności wydawania publikacji, o sposobach kolportażu — lepiej nie mówić. Dość rzec, że raptem ni stąd ni zowąd odnajdziemy łódzki „Informator Teatralny" w bibliotece w Łasku a można go ze świecą szukać w łódzkich placówkach kulturalnych. Czyli typowa „szeptanka" — śmiesznie mały nakład, nie wiadomo jaki kolportaż...

A przecież tego rodzaju publikacja informacyjna, jeśli ma mieć sens musi być redagowana w ścisłych „gazetowych" rygorach. Musi być dostępna dla każdego, kto jej potrzebuje, musi być wydawana r e g u l a r n i e, bo to nie almanach młodych poetów tylko i n f o r m a c j a.

Potrzeby Łodzi w zakresie regularnej informacji kulturalnej nie ulegają wątpliwości. Nie dla wszystkich — niestety. Konkretnie — nie dla tych, którzy tę informację powinni dostarczać. Wydział Kultury wyręczyła wreszcie prasa, która od dawna o potrzebie takiej publikacji pisała.

Otóż w każdą pierwszą niedzielę miesiąca „Dziennik Łódzki" będzie publikować 8-stronicową wkładkę z aktualnym repertuarem teatrów, planem imprez KMPiK-u, informacjami o sztukach teatralnych, sygnałami o premierach filmowych, anonsami wystaw plastycznych itp. Pewno, że roboty przy tym sporo, ale nareszcie łodzianin otrzyma wraz z niedzielną gazetą jakieś bardziej lub mniej kompletne lecz całościowe kompendium informacji o imprezach kulturalnych miesiąca. To bardzo wiele — to jest wreszcie sensowny zarys prawdziwego Łódzkiego Informatora Kulturalnego — prawdziwego ŁIK-u informacji.

Oczywiście nie jest to jeszcze pełen haust lecz zaledwie niewielki „łyk". Trudno zresztą na początek oczekiwać więcej, ale przydatność tej ośmiostronicowej książeczki (niebawem „urośnie" ona do stron 16) jest olbrzymia i niewątpliwa.

Na wiele dni naprzód wiemy dzięki ŁIK-owi kiedy wystąpi w Łodzi z prelekcją red. naczelny „Trybuny Ludu" Stanisław Mojkowski, a kiedy o sprawach międzynarodowych mówił będzie red. Zygmunt Broniarek. Na wiele dni przed premierą opery Romualda Twardowskiego w Teatrze Wielkim dowiadujemy się czegoś o operze i kompozytorze, z krótkiego przeglądu dowiadujemy się co o kulturze i sztuce Łodzi piszą inni... Jakie, z kim i kiedy będą imprezy sportowe w kwietniu.

Słowem — widać z tego, że coś się dzieje albo raczej, że coś się będzie działo w ciągu tych najbliższych tygodni. Oczywiście ŁIK zaproponowany przez „Dziennik Łódzki" nie jest ideałem, przydałaby się na pewno pełniejsza informacja o zamierzeniach wystawienniczych, o niektórych ciekawych imprezach w klubach i domach kultury... Można by pomarzyć o lepszej, bogatszej oprawie graficznej... Ale to przecież tylko osiem malutkich stroniczek na złym gazetowym papierze.

W sumie jednak mamy ładną porcję informacji — wolę to na zwykłym papierze niż niewypał na eleganckiej satynie w bogatych okładkach. Te skromne osiem stroniczek, czemuś i komuś służy — są potrzebne. Tamte błyszczące foldery adresowane były do nikąd... Oczywiście ideałem byłoby połączenie możliwości, środków i umiejętności obu stron w jeden p r a w d z i w y Informator Kulturalny. Ale to byłoby chyba za dużo szczęścia naraz — a ponieważ znam życie, nawet o tym nie marzę.

JERZY WIDOK

Bez strachu

KOTKI, KOCURY, TYGRYSY

Lubię małe kotki, kiedy pyszczkami ciepłymi od mleka trącają piłeczkę, papierową kulkę, kiedy na chwiejnych łapkach biegną za sznurkiem. Wszystkie ich czynności są miłe, bezradne słabe i nieporadne — dlatego właśnie są wzruszające, dlatego mianowicie, że są zupełnie bezpieczne. Nasza przewaga nad małym kotkiem jest zupełna i zupełna jest sympatia do małego kotka. Mały kotek przypomina nam naszą siłę i sprawność — to bezwiedny dworak naszych prywatnych dworów. Mały kotek rośnie i chadza własnymi, nieznanymi nam drogami — to już kocur, postać problematyczna — zależna od nas w małym stopniu — figura tajemnicza, trochę przyjazna, trochę wroga — lepiej trzymać się od jego jegomościa z daleka bo potrafi taki i nieżyczliwie fuknąć i podrapać. A co z wielkimi, największymi kotami — co z tygrysem bengalskim czy z lwem — otóż dla tych kotów piłeczką lub papierową kulką staje się niekiedy człowiek, a zabawa polega na rozdzieraniu ludzkiego ciała. Prawda, że lew czy tygrys to nieco inne koty od naszych domowych kotków i kocurów — na pewno jednak większa jest różnica pomiędzy piłeczką a człowiekiem niż między kotem domowym, a tygrysem. Obyczaje kota domowego i tygrysa są identyczne, podobnie poruszają się i polują, są jednakowo leniwe, myją się językiem — tylko tygrys jest sto razy silniejszy i ma sto razy większy apetyt. Znam wielu ludzi-kotków, ludzi kocurów i ludzi tygrysów. Wszyscy znamy takich, z którymi można się bezpiecznie i miłe bawić, takich, z którymi w czasie zabawy należy zachować ostrożność, oraz takich, przed którymi należy uciekać albo do nich strzelać. Z Bogiem sprawa kiedy te kategorie osobników utrzymują stałe podobne cechy — wiemy wtedy czego się trzymać, ale co począć z kotem rozwojowym, kotem, który kolejno przechodzi fazy kotka, kocura, tygrysa. Podchodzi do nas jako miły głodny kotek i żałośnie miauczy. Poimy go mlekiem i oto w naszych oczach rośnie w kocura, tygrysa. Podchodzi do nas, jako miły, grzeczny kotek i żałośnie miauczy. Poimy go mlekiem i oto w naszych oczach rośnie w kocura, któremu zdarza się groźnie fuknąć, ale który bywa przymilny i dostaje od nas mięso. Kocur rośnie w tygrysa i cudem uchodzimy z życiem. Kolejność faz bywa odwrotna — oto tygrys przewraca się, kaleczy, zderza z innym tygrysem i maleje do postaci kocura, jeszcze jedna kraksa i oto jest malutkim żałosnym kotkiem, którego żywimy z litości mlekiem. Wygląda że ten krąg poczynań wykuty jest przez konieczność — litość prowadzi do wzrostu grozy — własną krwią łuczymy potwory, które na nas polują. Czy tylko słabość jest miła i sympatyczna, czy wzrost energii i siły nieodzownie rodzi zło? Jakże pragnąłbym poznać kogoś z wymarłej rasy dobrych olbrzymów, kogoś kto byłby potężny i dobry. Jedna istota, której potrzebna byłaby dobroć i potęga stałaby się punktem centralnym ludzkiego świata. Wokół trwa ciągły pulsujący wzrost kotków w tygrysy i kurczenie się tygrysów w bezradne kotki — słabi więc dobrzy, silni więc źli. Co do mnie, od pewnego czasu nie wlewam mleka do spodeczków, a nadmiar mięsa rzucam sikorkom — chociaż może i one urosną w osły. Jak w gumowy balonik dmuchałem w dobro i zło — znudziła mnie wreszcie ta zabawa. Niech kotki rosną o własnych siłach — niech tygrysy rozdzierają się nawzajem.

BERNARD SZTAJNERT

TOMASZ KYD

SĄD NAJWYŻSZY

(DOKOŃCZENIE)

— Proponuję państwu — odezwał się doktor One — abyśmy działali jako komitet, badający fakty. Jeżeli wolicie nazwać to inaczej — jako nieoficjalny wydział śledczy. Pan Cramp zgodził się być sekretarzem, ja zaś będę przewodniczył.

— Zgodził się? Kto tu kogo mianował? — odezwał się jakiś głos.

— Czy chce pan przewodniczyć? Chętnie ustąpię.

— Nie powiedziałem tego. Zapytałem tylko, kto... Doktor One chrząknął wymownie.

— Będziemy wdzięczni, jeżeli nikt nam nie będzie przerywał. Jasne jest co się stało, jasne też jakie to pociąga wobec nas skutki. Widzieliście wszyscy rozbitą głowę pana Lecky. Nie mógł to być wypadek; lot przebiega gładko. Widzieliście małą butelkę z etykietką środków nasennych, jaka leżała na stoliczku obok. Niewątpliwie Lecky zażył środek nasenny. Podczas gdy on spał, ktoś chwycił go za włosy i mocno pchnął głowę na metalowe obicie okna. Lecky został zamordowany.

— Ze środków, jakie stosuje załoga samolotu, widzimy, że jest tego samego zdania. Nie ruszono ciała, nie wolno nam się do niego zbliżyć, choć nadal używają wyrażenia „smutny wypadek" steward i stewardessa stoją na straży. W tej chwili jest z nimi też kapitan.

— Kapitana mogę tylko chwalić. Przywrócił tutaj pewien porządek, czego ja nie zdołałem uczynić. Niewątpliwie ma ważne powody, dla których nie wtajemnicza nas w swoje plany. — Doktor One uśmiechnął się chłodno. — Ale mogę wam powiedzieć, jakie to są plany. Zatrzymają nas na lotnisku w Shannon jako świadków i przewiozą natychmiast z powrotem do Nowego Jorku.

Wśród pasażerów podniósł się szum. Doktor One uciszył go ruchem ręki.

— Ja mam termin na wygłoszenie ważnego odczytu. Opcja, jaką ma organizacja, której przedstawicielem jest pan Cramp, wygasa za kilka dni. Chociaż nie uważam, aby nasze zagadnienia były równej wagi, Cramp narażony będzie na duże straty pieniężne. Nie wątpię, że reszta pasażerów ma też jakieś pilne sprawy do załatwienia.

— A tak — zawołał jeden z mężczyzn — Jeżeli nie będę jutro rano w Sant David...

— Właśnie. I stąd obecne zebranie. Naszą jedyną szansą jest znalezienie winnego i oddanie go w ręce policji w Shannon. Proponuję, aby każdy po kolei udzielił o sobie trzech informacji. Oburzająca jest myśl, abym mógł mieć coś wspólnego z zamordowaniem pana Lecky, ale gotów jestem zacząć od siebie.

— Chcę wam wyjaśnić, że trzy fakty wyróżniają mordercę spośród innych pasażerów. Po pierwsze musiał poprzednio znać ofiarę. Po drugie, musiał zarezerwować miejsce po dacie, kiedy pan Lecky rezerwował swoje. Po trzecie nie będzie mógł podać rzeczowego powodu dla uzasadnienia swej podróży do Anglii. Mówiąc znowu jako statystyk uważam, że nie ma niemal szans, aby te trzy fakty mogły dotyczyć więcej niż jednej osoby. Osoba, której będą dotyczyły, jest właśnie mordercą. Czy mnie dobrze zrozumieliście?

Doktor One nie dał nikomu czasu na odpowiedź i ciągnął dalej.

— Doskonale. Niewinni nie mają powodu do milczenia, winny nie ma pretekstu, aby nie odpowiedzieć. Pan Cramp będzie notował wszystkie wyjaśnienia, które następnie zostaną sprawdzone. Lecky powiedział wczoraj, że zarezerwował miejsce w dniu pierwszego lipca — cały miesiąc naprzód. Data rezerwacji jest oznaczona na bilecie każdego z nas

— A jeżeli chodzi o wcześniejszą znajomość ze zmarłym, to przypadkiem wiem, że ofiara morderstwa istotnie znała jednego z obecnych.

— Jeśli zaś chodzi o przyczyny podróży, ocenimy je na podstawie własnego zdrowego rozsądku. Wszyscy gotowi? Dobrze. Jestem doktorem Andrzejem One. Nie znałem pana Lecky. Kupiłem mój bilet dopiero dwa tygodnie temu, lecz fakt ten nie będzie mnie obciążał. Zaproszenie do wygłoszenia odczytu otrzymałem kilka miesięcy temu, o czym wielu ludzi będzie mogło świadczyć. Czy zanotował pan to wszystko, panie Cramp?

— Tak. Ja nazywam się Oskar Cramp. Nie znałem uprzednio pana Lecky. Kupiłem bilet w biurze na 42 Ulicy 30 czerwca. Jadę do Londynu, aby oszacować pewne przedmioty sztuki, oferowane przez galerię La Scala.

— A teraz pan — doktor One zwrócił się do młodego człowieka będącego najwyraźniej w poślubnej podróży.

— Ja będę mówił za nas oboje — wyprostował się. — Jesteśmy małżeństwem Bob B. Whipple. Nie znaliśmy tego nieszczęśliwca. Jedziemy do Europy na... miodowy miesiąc. Ojciec Janet jest Anglikiem. O, tu w gazecie opisano nasz ślub, który odbył się przedwczoraj — wyciągnął z teczki jakiś magazyn ilustrowany.

— Niech pan siada. Tych dwoje jest dopiero co po ślubie i nie myślę, aby mieli w głowie mordowanie kogokolwiek Możemy ich więc wyeliminować. Kto następny.

— Ani słowa! Nie powiem ani słowa! Pan Abernathy pouczył mnie...

— Niech pani siada, wariatko. Nie jest pani dość mądra, aby popełnić takie morderstwo.

Spokojnie podniosła się z miejsca hinduska dziewczyna.

— Nazywam się Varmahana Singh. Nie znałam zmarłego pana. W zeszłym roku ukończyłam uniwersytet w Kolumbii. Jestem lekarzem. W tym roku zaczęłam pracować w ośrodku medycznym, ażeby się specjalizować.

— Panno Singh, to nie ma być autobiografia. Prosimy o trzy fakty. Bilet, data i powód podróży.

— Bilet kupił mi wujek w Londynie. Zatelegrafował w zeszłym tygodniu, że rodzice odwiedzą go w Anglii.

— Doskonale. Dziękuję pani — przerwał doktor One. — A więc czterech pasażerów możemy już wykluczyć. Troje z nich — to kobiety, a ten rodzaj morderstwa nie mógł być popełniony przez kobietę. Musimy teraz wysłuchać resztę.

Młody człowiek siedzący w tylnym fotelu wstał nagle.

— Dlaczego mnie pan wprost nie oskarża? Ale ja się nie dam, niech pan nie myśli!

— Spokojnie, spokojnie. Nikt pana nie oskarża.

— A co robicie? Jakież mam szanse, aby się obronić? Ja go znałem, jechaliśmy razem. Ale nie zamordowałem go. Byliśmy w złych stosunkach — wszyscy w firmie Armstrong i Lecky wiedzą o tym. Ale dlaczegoż miałbym go zabić? Chciałem tylko wyjść z firmy...

— Czy pan jechał jako pracownik pana Lecky? — spytał chłodno doktor One. — Ale nie rozmawialiście ze sobą. Skąd taka dziwna sytuacja?

— Jego żona, Blanche. Blanche Lecky — młody człowiek przełknął ślinę — młodsza od niego, lecz dużo starsza ode mnie. Chciała mnie złapać, ale ja się nie dałem. Ale to nie powód, aby jego zabijać! I nie jestem tutaj jedynym, który znał Leckego A co z nim? To jest Szymon Ziegler!

Wskazał palcem na jednego z pasażerów.

— Ty świnio! — ryknął tamten.

— No, był pan bardziej wrogo nastawiony wobec zmarłego, niż ja.

— Ośmiela się pan na mnie wskazywać!

Kapitan zbliżył się do środka kabiny i oparł o jeden z foteli. Oczy jego przesuwały się kolejno po pasażerach tak, jak gdyby oglądał tablicę rozdzielczą — czerwona tarcza, biała tarcza, czerwona tarcza, biała tarcza...

Ziegler zwrócił się ostrym ruchem do doktora One.

— Dobrze, panie wścibski, znałem go. Jechałem, ponieważ on jechał. Wyrabiam też przyrządy optyczne i chciałem złożyć ofertę na wyposażenie Witherspoona. Od pięciu lat wygrywam tam, gdzie przegrywa firma Armstrong i Lecky. Jeżeli pan myśli, że muszę popełnić morderstwo, aby zrobić dobry interes, to grubo się pan myli.

— Za szybko mówią — — szepnął Cramp — nie mogę nadążyć z notowaniem.

— A panowie? — zwrócił się doktor One do innych pasażerów.

Wszyscy zaprzeczyli, jakoby uprzednio znali zamordowanego. Wydawali się spokojni, nawet pogodni. Wszyscy jechali do Anglii aby załatwić jakieś interesy. Bilety kupili niedawno.

Doktor One ledwie słuchał. Pod koniec przywołał stewardessę. Powiedział do niej coś tak cichym szeptem, że nawet Cramp nie dosłyszał ani słowa. Stewardessa weszła do służbówki, skąd wyłoniła się po krótkiej chwili, trzymając w ręku kopertę radiogramu Doktor One wyjął z koperty cienki arkusik, rzucił na niego okiem i złożył z powrotem.

— Proszę państwa, osoba, którą wymienię, będzie musiała oddać się w ręce kapitana.

Przez chwilę trwało poruszenie w kabinie. Doktor One stał spokojnie, trzymając niebieski arkusik radiogramu tak, aby każdy mógł go widzieć.

— Morderca za chwilę zrozumie tak jasno pozycję, w jakiej się znajduje, że nie będzie nawet próbował zaprzeczyć — rozpoczął doktor One, gdy się trochę uciszyło. — Pomimo to nas wszystkich przetrzymają w Shannon. Inteligentniejsi spośród was wiedzieli pewnie, że nadzieje jakie przed wami roztaczałem miały na celu zdobycie waszej współpracy. Oczywiście, czynniki urzędowe nie będą miały tyle rozsądku, aby pozwolić nam na dalszy lot. Jest to bardzo irytujące.

— Kto jest mordercą? — wrzasnął Ziegler. — Wie pan, czy też pan zwariował?

— Od samego początku trochę oszukiwałem — ciągnął dalej doktor One. Już zanim poprosiłem was o podanie trzech faktów informacyjnych, wiedziałem kto jest mordercą. Szukałem tylko potwierdzenia i dowodów. To, co mówiłem o tych trzech faktach, było naturalnie przeciwieństwem prawdy. Morderca na pewno miał znakomicie uzasadniony powód dla swego lotu do Anglii, prawdopodobnie nie znał wcześniej swej ofiary, ponadto starał się zapewne kupić bilet wcześniej niż zamordowany.

Młody inżynier wyprostował się, Ziegler przycichł, natomiast reszta pasażerów stała się niespokojna.

— Żaden morderca nie będzie ryzykował, żeby się znaleźć w zamknięciu wraz ze zwłokami, wśród ograniczonej liczby podejrzanych, jeżeli nie będzie zupełnie pewny, że nikt go nie podejrzewa. Będzie więc starał się spełnić wszystkie wspomniane warunki. Możecie teraz spytać, dlaczego ktoś chce zamordować osobę, której nie zna i w jaki sposób znał tak dobrze plany swej ofiary, aby mógł rezerwować miejsce jeszcze przed nią.

Odpowiedź jest prosta. Blanche. Blanche Lecky.

Pasażerowie zaczęli przyglądać się obecnym kobietom.

— Nie, nie — ciągnął dalej doktor One — nie mówię, że ona osobiście popełniła morderstwo. Blanche Lecky jest nieobecnym współsprawcą przestępstwa. Chcę wam wyjaśnić, że morderstwo to jest nieomal klasyczne — popełnione przez kochanka i niewierną żonę. Jak zawsze głupie, lecz wykonane z pewną przebiegłością. Moja oryginalna teoria została potwierdzona przez słowa młodego inżyniera. Opisał on panią Lecky jako „odpowiedni" typ. Plan mordercy i pani Lecky był dość sprytny. Nie mogli liczyć na obecność rywala w interesach, lecz liczyli na obecność młodego współpracownika. Jeżeli śmierć byłaby uznana za morderstwo, a nie za nieszczęśliwy wypadek — jak się spodziewali — podejrzenia spadłyby na inżyniera. Plan dokonania morderstwa w samolocie został spowodowany względami finansowymi — duża asekuracja. Pan Lecky należał do nerwicowców Można było liczyć, że zaasekuruje się wysoko na korzyść żony. Tak więc znamy cechy charakterystyczne osób występujących w tym dramacie. Sam morderca jest typem kobieciarza, obracającego się w zamożnych domach, gdzie interesy załatwia zwykle poprzez panią domu. Jest na pewno zdolny do szybkich decyzji i szybkiej akcji.

— Może by pan nam przeczytał ten radiogram? — odezwał się jeden z pasażerów.

— Za chwilkę. Muszę wam najpierw wyjaśnić, że mieliśmy przy odlocie cztery godziny opóźnienia. Jak widzicie, tracimy obecnie wysokość, zbliżamy się do wybrzeża Irlandii i do ujścia rzeki Shannon. Przy normalnym rozkładzie lotów, bylibyśmy w Londynie dwie godziny temu. Dlatego też przed dwiema godzinami wysłałem radiogram do Londynu. Prosiłem, aby z Londynu zadepeszowano do domu nieboszczyka pana Lecky. Przeczytam wam, co kazałem telegrafować.

Doktor One rozwinął arkusz białego papieru.

„Droga Blanche. Nie mam możliwości załatwienia sprawy. Czy mam próbować w powrotnej drodze?"

— Nazwisko, jakim kazałem to podpisać nasunęło mi się na skutek uwagi, jaką zrobił jeden z was przed odlotem. Powiedział mianowicie, że jedzie dla oszacowania miniatur w muzeum Victoria i Albert. Ale ponieważ powiedział, że zarezerwował miejsce trzydziestego czerwca, podczas gdy okres otwarcia wystawy przedłużono na sierpień dopiero kilka dni temu, jasne jest, że kłamał. — Doktor One rozwinął niebieski arkusik radiogramu — odpowiedź pani Lecky została przekazana z Londynu do naszego samolotu. Dzięki niej można z całą pewnością zidentyfikować mordercę.

„Drogi Oskarze. Nie po zadepeszowaniu do mnie. Nie rób nic".

Tak, jak powiedział doktor One, morderca był zdolny do szybkich decyzji i szybkiego działania. Ci, którzy myśleli, że ramiona pana Crampa drgają ze zdenerwowania, byli zupełnie w błędzie. Rozległ się nagle hałas otwieranych drzwiczek. Kapitan i steward rzucili się w tę stronę, jednak nie dość szybko. Do kabiny wdarł się wicher, zaczęły fruwać papiery. Obsługa samolotu z trudnością zamknęła zapasowe drzwiczki.

Wysoko ponad Atlantykiem, jak gdyby w ślad za spadającym ciałem pana Crampa, unosiły się dwa arkusiki papieru. Jeden z nich był biały, a drugi niebieski. Oba przed chwilą znajdowały się w rękach roztropnego pana One — i co dziwniejsze — na żadnym z nich nie widniało ani jedno słowo — były zupełnie puste.

(Tłum. jb)

Lewym okiem

CZTERY PRZYKŁADY

Od dawna wiadomo, że pracownik, który ujawnia osobom postronnym, lub co gorsza, specjalnie zainteresowanym organom różne niezupełnie czyste sprawki, dziejące się w jego macierzystej instytucji, nie cieszy się sympatią ani zwierzchników, ani nawet tych, których ręce i sumienia są dostatecznie czyste Bywają zresztą dziwacy, którzy zawsze i wszędzie dostrzegają kant na kancie klikę, oszustwo i łapówkę. Piszą o tym na prawo i na lewo, powodując nieraz prawdziwą a nieodwracalną krzywdę ludzką. Więcej jednak jest takich, którzy w nadmiernej prostocie ducha uważają, że uzdrawianie świata — choćby na malutkim odcinku własnej działalności — nie należy do nich i że lepiej zająć stanowisko niezainteresowanego, niewiedzącego o niczym.

Tak jest, jeśli chodzi o małe i średnie świństewka i kanty, i właśnie dlatego dzieją się one tak masowo i jakże często — bezkarnie. Jeszcze gęstsza zasłona dyskrecji i tajemnicy powleka jednak horrendalne i ewidentne bzdury, jakie celebruje się w wielu instytucjach z wielkim namaszczeniem, bez obawy, że ktoś taką bzdurę nazwie jej właściwym imieniem. „Donosów" oczerniających nikt nie lubi, to zrozumiałe. Ale wydaje mi się, że jeszcze bardziej nie lubi się informacji ośmieszających. Ośmieszacz z miejsca otrzymuje wilczy bilet, opinię przemądrzałego za rozumialca, nieznośnego we współżyciu itp. Ośmieszać wolno „w ogóle", kogoś dalekiego. Nie wolno wynieść za próg wiadomości, z której wynika, że szef się myli, albo po prostu czegoś nie rozumie i robi zwyczajne, śmieszne, bezinteresowne głupstwa. I dlatego znikoma część głupstw przenika do opinii publicznej poprzez łamy pism satyrycznych, kącików, felietonów i notatek.

A bywa na przykład — na autentyczny, niedawny przykład — tak, że:

1. Pewne sprawozdanie roczne w jednej ze swych kilkudziesięciu rubryk musi być identyczne z pewną pozycją bilansu. I jest instytucja, w której „odnośne" pozycje nie były identyczne, bo pracownik, sporządzający sprawozdanie, wykrył oczywisty błąd w sporządzonym trochę wcześniej bilansie. Pracownik wpisał więc cyfrę właściwą i wysłał sprawozdanie resortowi z wyjaśnieniem, że bilans ulegnie korekcie. Na co resort odpowiedział, że... należy błąd bilansowy wprowadzić do sprawozdania i w ten sposób osiągnąć zgodność obu dokumentów, wymaganą przepisami.

2. W pewnej umowie o dostawę towarów z produkcji do hurtu wpisano między innymi jeden z wyrobów w gatunku, powiedzmy, trzecim. Producent jednak usprawnił swe procesy wytwórcze, dołożył większych starań i wyprodukował ów towar w gatunku drugim, a więc lepszym. Odbiorca przyjął towar, uznał jego lepszą jakość i... obciążył producenta karą za dostarczenie towaru niezgodnego z umową.

3. Przed pewnym przemysłem postawiono bardzo trudne zadanie produkcyjne, uzależniając od wykonania tego zadania wypłatę premii pracownikom. Ustalono przy tym, że pewna konkretna część tego zadania, polegającego na dodatkowej produkcji, może być wykonana w konkretnym towarze o nieco mniejszej wartości

Przemysł dołożył maksimum starań i wykonał zadanie tak, że ów towar o mniejszej wartości stanowił mniejszą część całości, niż ujęto w sformułowaniu zadania. Wobec czego jednostka nadrzędna uznała, że realizacja odbiega od zadania, wyliczyła odchylenie w procentach i wstrzymała premię. Dopiero gdy przemysł długo i zawile wytłumaczył się ze zbyt dobrego wykonania zadania, premię z dużym opóźnieniem uruchomiono.

4. W przemyśle odzieżowym pracuje jak wiadomo wiele szwaczek. Ale wykaz stanowisk i związanych z nimi stawek wynagrodzeń operuje wyłącznie nomenklaturą w rodzaju męskim, a więc nie ma w nim szwaczki, jest tylko szwacz. Co by tu zrobić, żeby lista płac była ściśle zgodna z wykazem stanowisk? Proste: w pewnym zakładzie dano formalne wymówienia wszystkim szwaczkom, po czym zaangażowano je formalnie na nowo jako szwaczy. Na szczęście przy tej zmianie płci ograniczono się tylko do papierków, nie żądając bardziej sprawdzalnej zgodności dokumentów ze stanem faktycznym.

Stop, nie układamy przecież katalogu bzdur, tylko felieton. Felieton musi być krótki. Cztery przykłady muszą wystarczyć jako ilustracja tezy o solidarnej ochronie głupstwa. Jeśli nie wystarczą — sięgniemy po kilkaset dalszych.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Halina Bekowa (red. techniczny), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska. Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 793. IV. B-12